



**ROSAMUND HUNT**



**BEZ CIEBIE**

## ROZDZIAŁ I

Rozgrzany kurz spowijał miasto niczym kokon. Becky Hazlett skręciła w Folger Street i ostrożnie wyminęła zaparkowaną ciężarówkę. Dochodziła dopiero dziewiąta rano. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a bezlitosne słońce prażyło, rozgrzewając skórzane siedzenia samochodu.

Becky poczuła, jak jej fartuch pielęgniarzki wilgotnieje. Do czoła przylepiały się kosmyki włosów, a czepek na siedzeniu obok nie wyglądał już tak świeżo, jak pół godziny temu.

W tej dzielnicy, zwanej Małym Chicago, wszystko odczuwało się intensywniej niż w innych częściach miasta. Upał był tu większy, a duchota prawie nie do zniesienia; kiedy wąty wietrzyk przelatywał co jakiś czas, gubił się natychmiast wśród poplątanych uliczek i mrowia zaniedbanych budynków.

No i brud. Zbierał się w rynsztokach i przywierał do starych domów. Becky nie przepadała za Małym Chicago, zbyt często budziło w niej ono uczucie obrzydzenia. Ale spędzała tutaj codziennie osiem godzin, pracując jako pielęgniarka w prywatnym gabinecie. Nieodwołalnie związała swe życie z doktorem Paulem Colemanem.

Jego przychodnia mieściła się w starym domu z czerwonej cegły, stojącym na końcu rzędu podobnych budynków. Gdy się doń wprowadził, starał się nadać mu choćby pozór ładnego wyglądu. Poleciał na nowo otynkować fronton i pomalować ramy okien. Teraz jednak tynk w wielu miejscach poodpadał, a farba się łuszczyła. Deszcze i wiatry też zrobiły swoje i dom nie wyróżniał się niczym spośród otoczenia.

Na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem doktora, a nad dzwonkiem umieszczono karteczkę z napisem: "Proszę zadzwonić i wejść do środka".

Becky zamknęła dokładnie samochód. Na Folger Street należało być czujnym i dobrze strzec swojej własności. Na razie jednak okoliczne wyrostki jakoś oszczędzały jej auto.

Trzy takie typki pojawiły się właśnie. Na miejsce wyglupów wybrali sobie wysokie schody prowadzące do gabinetu na piętrze. Jeden z nich zastąpił drogę Becky, chwycił się za brzuch i wykrzywił twarz.

- Siostrzyczko! - zakwiczał. - Niech mi siostra pomoże! Jestem chory, umieram!

Jego dwaj kompani z entuzjazmem przyłączyli się do przedstawienia. Jęcząc i postępując chwyтали się za najróżniejsze części ciała. Jeden z nich tak bardzo wczuł się w rolę, że upadł na kolana i poturlał się po chodniku.

- Siostrzyczko, tak strasznie mnie boli! Niech mi siostra da jakiś proszek!

Becky musiała na niego lekko nadepnąć, chcąc wejść na schody wiodące do przychodni. Tego rodzaju popisy przestały ją irytować. "Płytkim umysłem niewiele trzeba do dobrej zabawy - pomyślała w duchu. - Niech się cieszą. Może mają dziś ochotę na odrobinę szaleństwa"

W Małym Chicago panowała tego dnia jakaś dziwna atmosfera: coś wisiało w powietrzu. Zauważyła to natychmiast.

Mimo wczesnej pory po ulicach kręciło się wielu ludzi. Grupki młodocianych obiboków, takich, jak ci tutaj, zbierały się na rogach. Widziała też kobiety w brudnych szlafrokach narzuconych na koszule nocne. Stojąc w drzwiach domów, rozprawiały o czymś z ożywieniem. I dobrze wiedziała, co w Małym Chicago oznacza ów niezwykle nastrój.

Robin Hood, mieszkający tuż obok przychodni, został zwolniony z więzienia i wczoraj wieczorem wrócił do domu.

Gdy Becky po raz pierwszy usłyszała to imię, zapytała z zaciekawioną doktora Colemana:

- Robin Hood? Naprawdę tak się nazywa?

- Oczywiście, że nie - odparł. - Jego prawdziwe nazwisko brzmi Robert Houdachak. Ale lubi, gdy mówią na niego Robin Hood. Okrada biednych, a obdarowuje sam siebie. Szkoda, bo jego matka jest naprawdę miłą kobietą. Znają pani przecież: Sabina Houdachak; cukrzyca i powiększone serce.

Becky istotnie знаła ciemnowłosą, szczupłą kobietę, spędzającą cierpliwie wiele godzin w poczekalni. Pewnego razu pani Houdachak podarowała jej własnoręcznie haftowany obrusik.

- To na posag - powiedziała nieśmiało. - Taką miłą dziewczyna jak pani powinna szybko wyjść za mąż i mieć dużo dzieci.

Spokojnej i łagodnej, do każdego przyjacielsko nastawionej pani Houdachak ciężko było żyć ze świadomością, że ma syna przestępcę.

Becky zamknęła drzwi wejściowe i zrobiło się jej nieswojo. Czowała, że coś wisi w powietrzu.

Pomieszczenia przychodni obejmowały wąski korytarz, poczekalnię oraz gabinet przyjęć. W czasach, gdy Małe Chicago było jeszcze szanowaną dzielnicą, dom ten zamieszkiwali ludzie zamożni i nawet widać było jeszcze gdzieś siady dawnej świetności. Budynek był wysoki i wąski, miał

cztery kondygnacje. Pomieszczenia na piętrze nad przychodnią tworzyły prywatne mieszkanie doktora. Jadał tam posiłki, jeżeli czas mu na to pozwalał. Tam też spał, jeśli nie potrzebowali go akurat pacjenci.

Becky po raz setny chyba usiłowała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego Paul zdecydował się na takie życie i prowadził swój gabinet właśnie w Małym Chicago.

Był młody, zdolny, pracowity, duszą i sercem oddany swej profesji. Niewiele było specjalności, w których nie mógłby zabłysnąć. Dlaczego dokonał takiego wyboru i osiedlił się w najbardziej zaniedbanej dzielnicy miasta, gdzie mieszkańcy często nie byli w ogóle ubezpieczeni, a rachunek od lekarza umieszczali z reguły na samym końcu listy niezbędnych wydatków?

Nie tylko Becky, ale i inne pielęgniarki, które zdały egzamin w Palmer Memorial Hospital, łamały sobie głowę nad decyzją Colemana. Ów element tajemnicy podnosił w ich oczach atrakcyjność doktora i stanowił temat wielu dyskusji. Swym niecodziennym postępowaniem Coleman wyróżniał się wyraźnie wśród lekarzy kliniki. Również z tego powodu, między innymi, Becky zakochała się w nim.

W gabinecie było chłodno i panowała idealna czystość. Kobieta, która każdego wieczoru przychodziła tu posprzątać, zostawiała włączoną klimatyzację.

Becky zatrzymała się przed lustrem wiszącym obok drzwi, żeby założyć czepek. Ciepłe, wilgotne powietrze na dworze sprawiło, że jej włosy pozwijały się w loczki, które w uroczy sposób podkreślały jej urodę. Bez próżności stwierdziła, że wygląda bardzo ładnie. Kiedyś wygrała nawet konkurs na najpiękniejszą uczennicę, zorganizowany w szkole pielęgniarskiej, a w klasie maturalnej uchodziła za najlepiej ubraną dziewczynę.

Jej oczy były jasne tak jak włosy. W policzkach miała śliczne dołeczki, a zadarty nosk zdradzał zuchwałość i poczucie humoru. Uroda Becky była prawie doskonała.

Ale w jej twarzy widać było coś, co można by określić wyniosłością. Otaczała ją mgiełka nieprzystępności połączonej z dumą.

Wiedziała, że wielu ludzi nie darzyło jej sympatią. Gdy uczyła się w szkole pielęgniarskiej, ktoś powiedział jej, że jest zarozumiała, a pewna nauczycielka nazwał ją kiedyś rozpieszczonym bachorem".

Spojrzała na swoją twarz odbitą w lustrze i dostrzegła na niej przygnębienie i niezadowolenie z siebie.

- To przecież nie ma sensu - mruknęła. Nawet gdyby miała zezę, brodawkę na nosie i cerę jak tarka, dla doktora Colemana nie miałyby to żadnego znaczenia. Nigdy nie widział w niej kobiety. Dla Paula liczyła się tylko jako pielęgniarka, dzięki której łatwiej było mu dźwigać ciężkie brzemie obowiązków lekarza.

Inne dziewczyny ze szkoły pielęgniarskiej po zdaniu egzaminu zostały w szpitalu, robiły specjalizację lub natychmiast wychodziły za mąż. Ale Becky wiedziała, jak będzie wyglądać jej przyszłość, gdy tylko poznała doktora.

Pewnego wieczoru specjalnie zaczekała na niego, chcąc nawiązać osobistą rozmowę. W jej trakcie wspomniała o swoich planach zawodowych.

- Zawsze chciałam pracować w prywatnym gabinecie - oznajmiła z uśmiechem, świadoma uroku swych dołeczek. - Może zna pan przypadkiem kogoś, panie doktorze, kto szuka pielęgniarki?

Z westchnieniem odpowiedział:

- Sam kogoś potrzebuję. Ale nie stać mnie na to, żeby panią zatrudnić, siostrze Becky.

Odpowiedziała mu, zgodnie z prawdą, że nie ma żadnych kłopotów finansowych. Rodzice zagwarantowali jej zupełnie przyzwoite kieszonkowe. Ojciec pokrywał wszystkie wydatki na stroje, a po zdaniu egzaminu dostała samochód.

- No, dobrze - skapitulował Paul. - Jeżeli rzeczywiście pani tego chce. Ale tylko kilka godzin dziennie. Naprawdę nie mogę płacić pani więcej.

Tych "kilka godzin" przekształciło się z czasem w całodzienną pracę. Dyżury i Paul pochłonęły ją bez reszty. Mimo protestów rodziców prawie całkowicie zrezygnowała z życia towarzyskiego.

Ojciec często użalał się nad jej monotonną, jednostajną egzystencją:

- Ze swym wykształceniem mogłabyś osiągnąć wszystko! A ty wybrałaś pracę w najgorszej dzielnicy miasta! Jak na to wpadłaś?

Becky odpowiedziała wymijająco:

- Mam dość szpitalnej rutyny. W Małym Chicago zawsze coś się dzieje. Nigdy nie będę się tam nudzić. No i jestem tam panią samej siebie. Żadna siostra przełożona nie przegania mnie z kąta w kąt.

- To nie są argumenty - kręcił głową ojciec. - Przypuszczam, że już wkrótce będziesz miała tę pracę powyżej uszu.

Becky była jednak nieprzejednana. Całe jej życie koncentrowało się przecież wokół Paula Colemana. Czasami praca ją drażniła. Powodów było wiele: przepełniona poczekalnia, skargi, rachunki, które tylko sporadycznie

były regulowane. A do tego ten brud na Folger Street i beznadziejna świadomość, że mimo wszelkich starań dla Paula nie jest kobietą wystarczająco atrakcyjną.

Weszła do gabinetu i zobaczyła na biurku stos za-bazgranych kartek. To oznaczało, że doktor nie miał spokojnej nocy. Cała masa wizyt domowych, w większości bezpłatnych.

Ta część jej obowiązków budziła w niej największą niechęć; nie cierpiała papierkowej roboty. Większość ludzi kojarzy sobie pielęgniarkę z salą operacyjną, gdzie wspólnie z lekarzem walczy o ludzkie życie. Mało kto wie o monotonnej, codziennej pracy biurowej, o wypełnianiu kart chorobowych, o księgowości i formularzach ubezpieczeniowych.

Usiadła za biurkiem Paula, zostawiając otwarte drzwi do poczekalni, żeby móc usłyszeć każdego, kto się tu zjawi. Pacjenci nie trzymali się raczej godzin przyjęć. Przychodzili beztrosko o dowolnej porze, przekonani, że lekarz zawsze ich przyjmie.

Według terminarza doktor Coleman asystował dziś przy operacji pęcherzyka żółciowego. W wyobraźni przeniosła się na chwilę do sali operacyjnej. Zobaczyła postacie w zielonych kitlach, otaczające stół operacyjny i odczuła napiętą atmosferę, choć była to tylko rutynowa operacja.

A potem oczyma wyobraźni zobaczyła Paula podczas jednej z wielu jego wizyt domowych. Jak zwykle cierpliwy, przyjazny, troskliwy badał leżącą na łóżku staruszkę.

Ogarnęła ją tęsknota tak wielka, że niemal zakreśliło jej się w głowie. Ta gwałtowna zmiana nastroju przestraszyła ją. Swego czasu, gdy była jeszcze w szkole dla pielęgniarek, nie mogła się doczekać chwili, gdy uwolni się wreszcie od obowiązującej tam dyscypliny; liczyła dni, dzielące ją od zakończenia nauki, a zdanie egzaminu równało się spełnieniu najgorętszych marzeń. Dlaczego więc teraz nie czuła się szczęśliwa?

\*\*\*

Z zamyślenia wyrwał ją trzask gwałtownie zamykanych drzwi. Odłożyła długopis i weszła do poczekalni.

Młody mężczyzna zatoczył się w jej stronę. Jego twarz o ostrych rysach była blada jak popiół, a usta wykrzywione w grymasie bólu. Miał zakrwawioną koszulę.

- Da pan radę wejść do gabinetu? - zapytała Becky, ofiarowując mu swe ramię. Odtrącił ją szorstko.

- Gdzie lekarz?

- Zaraz tu będzie. Zadzwońię po niego. A tymczasem zobaczę, jak mogę panu pomóc.

Nie dał się dotknąć. Nie chciał się położyć na kozetce,

- Nie pozwolę, żeby mnie dotykała kobieta. Zrozumiała pani, siostró? Chcę lekarza i tylko lekarza.

Stał na chwiejących się nogach na środku poczekalni. Podniósł rękę, przyłożył do rany i zadrżał z bólu.

- Nikomu ani słowa - warknął. - Słyszysz pani? Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- Wypadki muszą być zgłaszane - wyjaśniła Becky. - Będzie mi pan musiał opowiedzieć, co się stało.

Rzucił wściekle spojrzenie.

- Niech pani uważa, żeby coś podobnego nie przytrafiło się pani. Żadnego meldunku. Żadnych glin. Chyba wie pani, kim jestem, nie?

Pokręciła przecząco głową.

- Okay, więc powiem pani. Jestem Robin Hood. Zostawiła go i poszła do sąsiedniego pokoju, żeby zadzwonić do szpitala po Paula. "A więc sprawdziły się moje przeczucia - pomyślała bez satysfakcji. - Już się zaczęło."

Okazało się jednak, że nie musi nigdzie telefonować. Zanim zdążyła sięgnąć po słuchawkę, usłyszała w przedsionku znajome szybkie kroki. Paul zachowywał się tak, jakby chciał wygrać wyścig z czasem. Już z korytarza zawołał do niej:

- Przez całą noc załatwiałem wizyty domowe. Pani Armand ma wysoką gorączkę. Prawdopodobnie jakaś infekcja wirusowa. Proszę sprawdzić w jej karcie, czy nie jest uczulona na jakiś antybiotyk. Ja...- zamilkł, ujrawszy mężczyznę opartego o poręcz fotela. - Kogo my tu mamy? - machnął ręką i dodał: - Na kozetkę, Robin. Muszę to obejrzeć.

Odwrócił się do Becky.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia. Nie chciał mi nic powiedzieć. Nie dał się nawet dotknąć.

- Uparty chłopak, co? Coś pani zdradzę, Becky. Tacy jak on zawsze udają twardzieli, póki coś im się nie stanie. Proszę podać mi nożyczki. Zobaczymy, w co się wplątał.

Słowa doktora były szorstkie, ale ruchy delikatne. Rozciął ostrożnie koszulę i zbadał uważnie brzegi rany.

Paulowi daleko było do ideału męskiej urody, ale regularne, szlachetne rysy twarzy zdradzały wewnętrzną siłę. Wykrój ust i wysunięty kanciasty podbródek świadczyły o energii i woli walki. Ponieważ często marszczył czoło, mógł sprawiać wrażenie człowieka niecierpliwego albo ponurego. Ale Becky wiedziała, że to pozory. Znała niewielu ludzi, którzy przewyższali go zdyscyplinowaniem i opanowaniem. Paul nie grzeszył być może wytwornymi manierami i ogłada, ale posiadał cechy mające znacznie większą wartość: dobre serce i silną wolę. Był też całkowicie oddany swoim pacjentom. Po dokładnym zbadaniu rany stwierdził:

- Szkło. Cała masa drobnych odłamków. Czym zajmuje się obecnie twoja banda? - zwrócił się do chłopaka leżącego na kozetce. - Czy zamiast kul używacie teraz szkła?

Reakcją było głucho milczenie. Paul podniósł głos.

- No dalej, Robin! Co się stało? Musimy zgłosić wypadek.

W odpowiedzi padły ciche, ledwie słyszalne zza zaciśniętych zębów słowa:

- Jeżeli gliny się o tym dowiedzą, zabiję was oboje. Pana i tę laleczkę. Możecie być tego pewni.

Becky nie należała do osób tchórzliwych. Wprawdzie nieobce jej były napięcia nerwowe, ale nie dawała się łatwo zastraszyć. Roześmiała się.

- Mój kochany chłopcze - zakpiła - gdzie już widziałam ten film. Okrutny grozi lekarzowi i pielęgniarce, że się z nimi porachuje, jeżeli powiedzą komukolwiek, że opatrzyli mu ranę. To nie był dobry film, nawet jeśli panu się podoba, panie Houdachak.

Nie chciała używać tego śmiesznego przydomka "Robin Hood". Bezbronny i sparaliżowany bólem nie przypominał zupełnie legendarnego bohatera.

Paul zwrócił ku niej twarz i znowu zmarszczył czoło.

- Proszę zaaplikować mu zastrzyk przeciwbólowy, A potem poproszę o skalpel i gaziki.

Gdy się uśmiechał, w jego oczach pojawiały się maleńkie psotne iskierki i nie wyglądał już tak surowo. Nieczęsto zdarza się, by pielęgniarkę i lekarza łączyła więź niemal koleżeńska. Zazwyczaj ogranicza się ona do poprawnej, rzeczowej, czysto zawodowej współpracy.

Ten uśmiech sprawił, że serce Becky zaczęło uderzać mocniej. Być może nadszedł wreszcie dzień, w którym runie niewidzialna ściana między nimi.

Ale po chwili Paul znów był tylko lekarzem. Mimo iż najwyraźniej nie darzył sympatią Robina, starał się sprawić mu jak najmniej bólu. Każdemu kawałkowi szkła wyjmowanemu z rany towarzyszył jednak żalony jęk



chorego. Zabieg trwał dość długo, gdyż doktor dokonywał go z wielką ostrożnością. Gdy już było po wszystkim, jeszcze raz zbadał swymi długimi, zwinnymi palcami pierś mężczyzny.

- Myślę, że wszystkie odłamki już usunąłem, ale nigdy nie ma się całkowitej pewności. Siostró Becky, najlepiej, jeśli zrobimy rentgen klatki piersiowej. Możliwe, że jakiś odłamek utknął tak głęboko, że nie zdołałem go odnaleźć. Proszę założyć mu opatrunek, zawieźć go do kliniki i prześwietlić. Ja muszę się teraz zająć panią Armand.

Robin Houdachak zaprotestował nagle. W żadnym wypadku nie chciał jechać do szpitala.

- Będą mnie wypytywać - poskarżył się piskliwym głosem. Nie dadzą mi ani chwili spokoju i zawiadomią policję.

Coleman, którego cierpliwość się skończyła, przerwał mu szorstko:

- Zamknij się, Robin! Wiesz przecież, jak ważny jest dla ciebie ten rentgen, więc nie zachowuj się jak dziesięcioletni gówniarz. Jeśli twoje własne zdrowie nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, pomyśl przynajmniej o matce. Nie powinienes przysparzać jej dodatkowych zmartwień; to bardzo chora kobieta. \_ Robin spoważniał.

- Zaraz, co to ma znaczyć? Mamá przecież wyzdrowieje, nie? Niech pan się dobrze o nią troszczy, słyszy pan? Jeżeli mojej matce coś się stanie, to będzie pana wina. I będzie pan musiał za to zapłacić.

Paul rzucił Becky niecierpliwe spojrzenie.

- Coś mi się zdaje, że znowu leci ten stary gangsterski film. Najlepiej będzie, jeśli pożyczę teraz temu chłopcu koszulę, a potem zawiezie go pani do kliniki.

Becky i Houdachak opuścili budynek. Na ulicy czekała na Robina kobieta o zniszczonej, zatroskanej twarzy. Sabina Houdachak podeszła nieśmiało do syna. Wyglądała jak uosobienie matczynego cierpienia.

- Mamo - warknął Robin. - Mówiłem ci przecież, że masz zostać w domu. Nie powinnaś tu przychodzić.

- Dobrze się czujesz, synku? - zapytała i zwróciła się z niemą prośbą w oczach do Becky. - On wyzdrowieje, prawda, siostró Becky? Tak się przestraszyłam. To był straszny wypadek... Początkowo myślałam, że to już koniec. Mam z nim tylko wieczne utrapienie, ale w końcu jest moim synem - wyznała z prostotą. I dodała: - To ten przeklęty pies... Ale to tylko głupie zwierzę.

- Jaki pies? - zdziwiła się Becky.

- Mamo! -> ostrzegawczo zawołał Robin. - Ani słowa więcej! Zrozumiałaś? Ani słowa!

- Pani Houdachak, proszę powiedzieć, co się stało - odezwała się Becky. - Musimy to wiedzieć. Tego rodzaju wypadki trzeba zgłaszać.

Mimo głośnych protestów Robina, pani Houdachak opowiedziała Becky całe zajście. Robin wyszedł na klatkę schodową, żeby zabrać butelkę mleka. Gdy tylko pies usłyszał, że ktoś otwiera drzwi, zerwał się nagle i wybiegł na korytarz, po czym przepychając się między nogami Robina, podciął go. Chłopak stracił równowagę, pośliznął się na śliskiej podłodze i z butelką w ręku runął na ziemię. Butelka pękła, a odłamki szkła powbijały mu się w pierś.

- Nie pozwolił mi iść razem do doktora - zakończyła opowieść pani Houdachak. - Zabronił mi też opowiadać komukolwiek o tym, jak się to stało, bo uważa, że to by go ośmieszyło. Ale pani i pan doktor jesteście dla nas tacy mili. Nie chciałabym, żebyście przez mojego syna mieli jakiegokolwiek kłopoty.

Becky pocieszyła ją:

- Pani syn już wkrótce będzie zdrowy. Niech się pani nie martwi.

Robin milczał jak głaz. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Twarz miał poważną i zamyśloną. Dopiero gdy dotarli do jednej z głównych ulic i zaczęli zbliżać się do śródmieścia, wybuchnął nagle:

- Nie musi pani przecież rozpowiadać tej historii. Chyba nic się pani nie stanie, jeśli zatrzyma ją pani dla siebie.

- Taki też miałam zamiar.

Powiedziała to tak łagodnie, że aż ją samą to zdziwiło. Nie lubiła ludzi pokroju Robina Houdachaka: takich, którzy nie liczyli się w ogóle z prawem, za to podziwianych gorąco w kręgach młodych mężczyzn z marginesu społecznego. Ale było w nim coś, co budziło współczucie. Przynajmniej jedno przemawiało na jego korzyść - kochał matkę i martwił się o jej los.

- Nie chcemy zepsuć panu opinii - odwróciła głowę i uśmiechnęła się przelotnie. - W szpitalu będę musiała oczywiście opowiedzieć, jak doszło do wypadku. Z pewnością zawiadomię też doktora Colemana, ale poza tym nikt się o niczym nie dowie. Lekarzy i pielęgniarki obowiązuje tajemnica zawodowa.

Robin popatrzył na nią. Jego spojrzenie, pozbawione już dzikiego, wściekłego blasku, teraz było łagodne. Miał piękne rzęsy: gęste i jedwabiste. Gdyby Becky nie była do niego uprzedzona, musiałaby przyznać, że jest bardzo przystojny. Z całą pewnością złamał już niejedno dziewczęce serce.

Skreśliła w ulicę wiodącą do szpitala i jej myśli popłynęły w innym kierunku. Po obu stronach ulicy stały domy lekarzy, prywatne kliniki, przychodnie. Wszyscy nazywali tę dzielnicę "Wzgórzem Konowałów", czasami także "Zaułkiem milionerów".

Oczywiście praktykujący tutaj lekarze nie byli żadnymi milionerami. Każdy z nich, dzięki uczciwej pracy, osiągnął już pewną pozycję. Ich gabinety były wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt medyczny. W wykonywaniu obowiązków pomagały im całe zastępy pielęgniarek i sekretarek. Słowem, kto się tutaj dostał, nie narzekał.

Zalety tego typu były Colemanowi całkowicie obojętne. Jego przeznaczeniem było Małe Chicago, wszyscy cierpiący, chorzy mieszkańcy tej dzielnicy, bez względu na stan ich portfeli. Zarabiał znacznie mniej, niż powinien, ale przyjmował to ze spokojem i nigdy się na nic nie skarżył.

Jak bumerang powróciło pytanie "dlaczego?" Z zamyślenia wyrwał ją głos Robina.

- Wie pani co? - powiedział z uznaniem. - Wcale nie jest pani taka okropna.

Nie patrząc w jego stronę, wyczuła instynktownie, że wpatruje się w nią uparcie. Odczuła lekkie zażenowanie.

Doznała uczucia ulgi, wjeżdżając na podjazd prowadzący do budynku, gdzie mieściło się pogotowie ratunkowe. Chciała pomóc Robinowi przy wysiadaniu, ale zaprotestował niecierpliwym burknięciem. Domyśliła się, że usiłował w ten sposób ukryć swe onieśmienie.

Uśmiechnęła się do niego, co sprawiło, że zamrugał niepewnie oczami.

\*\*\*

Na oddziale pogotowia ratunkowego panowała dobrze jej znana nerwowa atmosfera. Na pulpicie dyżurnej pielęgniarki brzęczał telefon, jeden z sanitariuszy pomagał wstać jakiemuś mężczyźnie z wózka, słychać było głośny płacz dziecka, a przechodzącą akurat siostrę zatrzymała kobieta z zabandażowaną ręką, głośno się od niej czegoś domagając.

Becky odbywała kiedyś trzymiesięczną praktykę na oddziale pomocy doraźnej. Nigdy nie mogła się przyzwyczaić do tej pracy. Ciągłe napięcie, konieczność nieustannej koncentracji, bliski kontakt z ciężko rannymi - wszystko to było dla niej zbyt męczące.

Powróciła wspomnieniami do tamtego okresu. Może to, czego jej brakowało, znalazłaby tutaj? Może potrzebowała po prostu kontaktu z ludźmi? W gabinecie doktora Colemana była zdana tylko na siebie. To

wyjaśniałoby uczucie tęsknoty, którego doznała dzisiaj na myśl o sali operacyjnej.

Gdy była jeszcze uczennicą, zawsze miała przy sobie kogoś, z kim mogła porozmawiać. Beż to godzin spędziła w kawiarence na końcu ulicy, której klientela składała się głównie z pielęgniarek i sanitariuszy?

Teraz nie było nikogo, komu mogłaby zwierzyć się ze swych myśli i uczuć. Matka wieczorami była zajęta przeważnie jakimiś interesami i obowiązkami towarzyskimi. Gdy tylko Becky próbowała opowiedzieć o czymś, co się zdarzyło w przychodni, matka wzdrygała się wołając:

- Rebeko, proszę, oszczędź mi opowieści o swojej pracy!

Ojciec, człowiek wykształcony i cokolwiek oderwany od życia, był pochłonięty tylko swoimi książkami i zbiorem znaczków pocztowych.

Dopiero teraz, kiedy po raz pierwszy od niemal roku znalazła się znowu w Palmer Memorial Hospital, uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna i wyobcowana.

Gdy podeszła wraz z Robinem do pulpitu siostry dyżurnej, napotkała jej wzrok i rozpoznała ją natychmiast. Chodziły razem do jednej klasy, ale nigdy się nie zaprzyjaźniły.

Siostra Lucy miała cięty język i zawsze wszystko krytykowała. Była pracowita, ale mało atrakcyjna. Odezwała się z przyklejonym do twarzy uśmiechem:

- Coś takiego! Któż to nas zaszczycił swą wizytą? Już myślałam, że całkiem się na nas wypięłaś. Nie przyszłaś na żadne ze spotkań klasowych.

- Zawsze brakowało mi czasu - słabo broniła się Becky. - Za każdym razem miałam wielką ochotę przyjść, ale ciągle mi coś wypadło.

- Oczywiście! Wy, biedne asystentki panów doktorów, zaharowujecie się przecież na śmierć.

Chłodne spojrzenie Lucy prześliznęło się z Becky na stojącego obok mężczyznę, po czym dyżurna pielęgniarka położyła jedną ręką na pulpicie jakiś formularz, a drugą sięgnęła po długopis.

- O co chodzi?

Becky opowiedziała jej pokrótce o wypadku Robina.

- Doktor Coleman chciałby zrobić rentgen klatki piersiowej. Zadzwoń, proszę, do nas do przychodni, jak tylko będzie gotowy opis zdjęcia. Jeżeli w ranie nie pozostał już żaden odłamek, można chorego spokojnie odesłać do domu.

Odwróciła się i chciała odejść, ale Robin wyciągnął dłoń i zatrzymał ją.

- Chyba pani jeszcze nie znika? Nie zostanie pani ze mną?

- To nie jest konieczne. Zostaniesz pod dobrą opieką.

Nie pozwolił jej odejść. Spojrzał głęboko w jej oczy, aż się zarumieniła.

- Dziewczyno - powiedział przytłumionym głosem. - Wolałbym, żeby pani ze mną została. Lubię panią.

Becky nie wiedziała, jak zareagować. Nie była przesadnie próżna, ale teraz usłyszała znaczący ton w jego głosie. Czowała, że zbliżają się kłopoty i to napawało ją lękiem.

RS

## ROZDZIAŁ II

O jedenastej poczekalnia doktora Colemana była już pełna, chociaż teoretycznie przyjęcia zaczynały się dopiero o pierwszej.

Gdy Becky zaczynała tu pracować, próbowała wymusić przestrzeganie godzin przyjęć. Początkowo prowadziła nawet terminarz. Szybko jednak dała sobie z tym spokój, była to bowiem, jak się okazało, walka beznadziejna. Doszła do wniosku, że mieszkańcy Małego Chicago albo zupełnie nie umieją się posługiwać zegarkami, albo po prostu nie chcą uwierzyć w to, że Paul nie zawsze może służyć im pomocą.

Znała prawie wszystkich, którzy siedzieli w poczekalni. Była tu mała pani Shelburne, chora na artretyzm. Mieszkała w sąsiednim budynku i często widziano ją spacerującą po Fołger Street z kotem na smyczy. Becky zawsze rozśmieszały jej dziwaczne stroje, które sprawiały wrażenie kupionych na jakimś pchlim targu. Pani Shelburne często przy każdej okazji powtarzała charakterystycznym tonem, że "kiedyś były lepsze czasy" i że w przeszłości była przedstawiona na dworze królowej Marii.

Przyszedł też sędziwy staruszek, nazywany przez wszystkich Joe. Siedział nieruchomo i gapił się w jakieś czasopismo, nie przewracając nawet kartek. Nawet lekarzowi nie chciał zdradzić swego prawdziwego imienia. Paul opowiadał kiedyś, że Joe strzeże tajemnicy swojej tożsamości, aby sprzeciwić się światu, od którego nie zaznał niczego prócz krzywdy.

Jakaś dziewczyna, która sama jeszcze była dzieckiem, trzymała na kolanach zawinięte w kocyk niemowlę.

Poza tym w poczekalni siedział chłopiec ze złamaną ręką i kobieta, której nie dolegało nic oprócz trudnej do zniesienia samotności.

Becky zauważyła wśród czekających jakiegoś nie znanego jej mężczyznę. Był zbyt dobrze ubrany jak na pacjenta doktora Colemana. Trudno byłoby się też doszukać na jego twarzy tak charakterystycznego dla innych siedzących tu ludzi wyrazu zagubienia. Za każdym razem, gdy Becky wychodziła z gabinetu, aby poprosić następnego pacjenta, mężczyzna spoglądał na nią znad książki i uśmiechał się.

Becky nie miała ani chwili czasu na rozmowę z Paulem. Okazję do krótkiej wymiany zdań dała im dopiero pani Shelburne, która mimo upałów nie chciała zrezygnować ze swych powłóczystych sukien, co wiązało się oczywiście ze znaczną stratą czasu przy ubieraniu.

Becky nie mogła opędzić się od myśli o Robinie. Zapytała:

- Jak to właściwie jest z Robinem? Czy naprawdę jest tak złym człowiekiem?

Doktor podniósł wzrok.

- Chyba nie wzbudził w pani jakichś głębszych uczuć?

- Oczywiście, że nie! - poczuła, że się czerwieni. - Pytam tylko tak, z ciekawości. Jego matka jest taką miłą kobietą...

- No cóż, Robin istotnie niewiele dobrego zdołał w swoim życiu - stwierdził Paul. - Już jako dzieciak miał pewne przestępcze skłonności. Jak to zwykle bywa, zaczął od drobnych kradzieży i demontażu dekli od kół. Potem przyszła kolej na samochody. A w końcu założył coś w rodzaju przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego. Zmuszał drobnych handlarzy i właścicieli sklepów do płacenia haraczu w zamian za ochronę ich mienia.

- Myślałam, że z tym procederem skończono już w latach trzydziestych - zdziwiła się szczerze.

- Ale nie Robin. On nadal inkasuje pieniądze tą metodą.

- A dlaczego oni na to pozwalają, ci sklepikarze i kupcy? A policja? Ich to nie obchodzi?

- Kto to może wiedzieć? Nasi policjanci nie zawsze są najuczciwsi. A Robin ma tutaj, w Małym Chicago, wielkie wpływy. Skinie tylko palcem, a jego kompani zrobią ze sklepikarzem, co zechce. Poza tym ma sprytnego adwokata i dużo pieniędzy. Kiedyś jeden z jego "klientów" nie chciał więcej płacić i poszedł na policję. Zaresztowali Robina i wlepili mu jakąś lekką karę. Jeden rok nawet odsiedział. Ale teraz znów jest na wolności i nic ani nikt nie powstrzyma go od kolejnych szantaży. Niezbyt optymistyczne, prawda?

Becky nie odpowiedziała, gdyż Augusta Shelburne opuściła już przebieralnię i wkroczyła do gabinetu, pobrzękując sztuczną biżuterią. Wokół szyi udrapowała sobie kilka tanich, jaskrawych szali. Spod nich wyglądała pomarszczona jak stary jedwab twarz, na której uśmiech wyźłobił głębokie bruzdy.

- Za wizytę zapłacę w najbliższym czasie - obiecała. - Oczekuję czeku a conto majątku ojca. - Na wysokich jak szczydła obcasach dokuśtykała do drzwi - Biedny papa - westchnęła wychodząc. - Gdyby wiedział, w jakich warunkach żyje jego córka, przewróciłby się w grobie.

Następnym w kolejności był ów młody mężczyzna, który w poczekalni czytał książkę. Becky sądziła, że to jakiś lekarz, który chce skonsultować się

w jakiejś sprawie z doktorem Colemanem, ale gdy wprowadziła go do gabinetu, Paul zawołał ze zdziwieniem:

- Wielkie nieba, Steve! Dlaczego nie zgłosiłeś się wcześniej? Przyjąłbym cię natychmiast

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

- Jesteś tak bardzo zajęty, że nie chciałem ci przeszkadzać. Właściwie mam nawet wyrzuty sumienia, że zawracam ci głowę swoimi sprawami. Ale wpadłem tylko na chwilę, Paul, nie zabiorę ci dużo czasu.

Paul przedstawił ich sobie.

- To jest Becky Hazlett, moja asystentka. Steve Pryor, kolega ze szkolnej ławy.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, wyraźnie uradowani ze spotkania. W pierwszej chwili Becky wydawało się, że są do siebie bardzo podobni. Dopiero teraz, kiedy usiedli jeden przy drugim, stwierdziła, że pierwsze wrażenie było mylne.

Jedyną, co ich łączyło, to promieniująca z ich twarzy siła woli. Obaj wiedzieli, czego chcą i obaj potrafili bez względu na przeszkody osiągnąć swe cele.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał Coleman. - Możesz mówić swobodnie przy siostrze Becky - dodał. - I tak zna moje wszystkie tajemnice. Jesteś chory? Wyglądasz raczej dobrze. Steve potrząsnął głową.

- Nie mogę narzekać. Nie mam też żadnych tajemnic. To, co chcę powiedzieć, to żaden sekret I tak wszyscy wkrótce się dowiedzą. Nie przyszedłem tu jako pacjent, Paul. Czy wiesz, że kandyduję na urząd burmistrza?

- Czytałem coś o tym w gazecie - przytaknął bez entuzjazmu Paul. - Naprawdę sądzisz, że masz szansę? Wiem, że stawałeś do wyborów przed rokiem, ale ten facet, który jest teraz u władzy, trzyma się mocno swego stołka.

- Załatwię go - jeszcze bardziej wysunął do przodu silnie zarysowany podbródek. - Wiesz, co się dzieje w mieście: machlojki, korupcja, a do tego zupełnie bezradna policja. Popatrz tylko na Małe Chicago. - Machnął ze złością ręką. - Wszystkie inne miasta tej wielkości i o podobnym znaczeniu mają jakiś program reform. Planuje się wyburzenie slumsów, a na to miejsce postawienie nowych, ładnych bloków. Ale my nie mamy takiego programu. I zapewne wiesz również dlaczego, prawda? - i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Komunalne domy czynszowe są własnością kumpli burmistrza. Oni



nie życzą sobie wsparcia od państwa, gdyż to oznaczałoby wyburzenie tych budynków. A tym samym straciliby dochody z wynajmu. Chcą, żeby wszystko zostało po staremu, nie przejmują się potrzebami ludzi. Blokują drogi postępu. Chodzi im tylko o forszę, a tymczasem ludzie żyją tu w nędzy. Już czas, żeby coś się zmieniło w naszym mieście. Paul wtrącił się:

- Mogę ci tylko przyznać rację. Ale polityka to brudny interes. A burmistrz może wszystko.

- W każdym razie spróbuję - obstawał przy swoim Steve. - Dlatego tu jestem. Chciałbym, żebyś mi pomógł.

Coleman z namysłem popatrzył na przyjaciela. Potem odparł:

- Trzeba będzie o tym kiedyś spokojnie pogadać. Widzisz, Steve, masz zupełną rację. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny na świecie o brudzie, nędzy i przestępcach, którzy opanowali Małe Chicago, ale...

Przerwał mu telefon. Podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał w milczeniu, potem zadał kilka pytań i zapisał coś w notatniku.

- Następny przypadek nagłej, wysokiej gorączki -zwrócił się do Becky. - To już trzeci dzisiaj oprócz pani Armand. Będę musiał odłożyć na później przyjmowanie chorych. Nazbierało się wizyt domowych. - Ponownie zwrócił się do Steve'a: - Posłuchaj, stary byku, zgadzam się z tobą, że trzeba wreszcie powyłapywać te szczury. Ale nie mam pojęcia, jak mógłbym ci w tym pomóc.

- Jasne, że możesz mi pomóc, Paul. Wszyscy tutejsi mieszkańcy, a przynajmniej ich większość, to potencjalni wyborcy. Poważają cię i liczą się z twoim jądaniem. Mógłbyś szepnąć im słówko o mnie. Powiedz im też, że radca miasta wysysa z nich krew i wpycha ich w coraz gorsze bagno. Żyją w żałosnych warunkach i to się nie zmieni, dopóki o losie miasta decydują przekupni ludzie. Wybory są za dziesięć tygodni. Musisz mi pomóc. Paul potrząsnął głową.

- Jestem lekarzem. Interesuje mnie ciało człowieka, a nie jego świadomość społeczna. I nie mam czasu, żeby rozmawiać z chorymi o polityce.

Podniósł się, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. Steve chciał jeszcze coś powiedzieć, ale znów zadzwonił telefon i gdy Paul podniósł słuchawkę, myślami był już zupełnie gdzie indziej.

- Jeżeli nie mamy w poczekalni żadnego nagłego przypadku - zwrócił się do Becky - trzeba powiedzieć ludziom, żeby przyszli później. Muszę natychmiast wyjść. Będzie pani miała czas na przerwę obiadową. - I dodał po chwili: - Proszę sprawdzić, czy mam w torbie wystarczająco dużo penicyliny. Ludzie jak zwykle nie mają pieniędzy na lekarstwa.

Podszedł do umywalki i umył ręce. Steve zwlekał jeszcze z odejściem. Uśmiechnął się do Becky.

- I tak nie wierzyłem, że podda się od razu - rzekł z namysłem. - Ale sądziłem, że udami się go namówić. Musi stanąć po mojej stronie. Ma bardzo dużą siłę oddziaływania. Dobrze mieć go za przyjaciela. - Nadal nie miał jeszcze zamiaru wychodzić. Podszedł do niej i zapytał: - Dokąd pani idzie na obiad? Nie widziałem w sąsiedztwie żadnej porządniejszej restauracji.

Becky odparła, że z reguły jeździ na obiad do domu. Nie przyznała się jednak, jak wielkim wytchnieniem po godzinach spędzonych w przytłaczającej atmosferze Folger Sweet były dla niej te chwile spędzane codziennie w dużym, wygodnym mieszkaniu na drugim końcu miasta. Nie chciała mu o tym mówić, bo wydał jej się szalenie poważnym człowiekiem. Prawdopodobnie, tak samo jak Paul, uznał ją za ofiarną idealistkę, bez reszty oddaną służbie bliźnim. Bez względu jednak na to, czy widział w niej kobietę czy pielęgniarkę, jedno było pewne: poświęcił jej sporo uwagi. I uśmiechał się serdecznie i ciepło,

- Czy mogę panią zaprosić na obiad? - zapytał, - Jeszcze nie jadłem śniadania. Musiałem wcześniej być w sądzie. Jestem adwokatem, wciąż jeszcze na najniższym szczeblu drabiny sukcesu. Ale nie dlatego ubiegam się o urząd burmistrza. Wystarczająco dużo ludzi wykorzystuje swoją pozycję do prywatnych celów. - Oczy zapłonęły mu nagle, zreflektował się jednak szybko i dodał innym już tonem: - Proszę mi wybaczyć, że zawracam pani głowę moimi problemami. Jeżeli mi pani obieca, że pójdzie ze mną na obiad, będę mówił już tylko o pogodzie i o podobnych sprawach.

Uklonił się grzecznie.

Becky zawahała się na moment A potem pomyślała: "A właściwie, dlaczego nie?"

Steve Pryor zrobił na niej dobre wrażenie. Był błyskotliwy, inteligentny i jego towarzystwo nie zapowiadało raczej nudy. Ostatnio bardzo rzadko gdzieś wychodziła, narażając się na ciągle te same wyrzuty matki, która miała jej za złe, że jest "takim odludkiem" i wciąż mówiła coś o "zaprzepaszczonej szansie".

Dla Becky liczył się tylko Paul Coleman; nudziła się w towarzystwie innych mężczyzn, po prostu nudziła się. Ale w wypadku Steve'a Pryora było inaczej. Łączyła go najwyraźniej przyjaźń z Paulem i to wystarczało, by dziewczyna uznała go za kogoś godnego zainteresowania.

Nie wiedziała, dlaczego zaprosił ją na obiad. Czy dlatego, że dostrzegł w niej atrakcyjną kobietę, czy dlatego, że szukał u niej pomocy, chcąc wciągnąć przyjaciela do kampanii wyborczej. v Było jej to zresztą zupełnie obojętne. Być może, pomyślała, Paul zainteresuje się nią, kiedy zobaczy, że ma powodzenie u innych mężczyzn.

Dotychczas całkowicie ignorował każdą jej nową fryzurę, zalotną grę dołeczków, najdroższe i najbardziej wyszukane perfumy. Próbowła być dla niego koleżeńska, pełna zrozumienia, współczująca. Wszystko na próżno! Nawet to, że spędzali razem tyle godzin, prawie codziennie, nie przyniosło żadnego efektu, choć podobno częste spotkania bardzo sprzyjają rodzeniu się wzajemnych uczuć.

Może zainteresowanie, jakie jej okazał Steve, wzbudzi w Paulu choć iskierkę zazdrości.

Na tyle głośno, by doktor mógł usłyszeć jej słowa mimo szumu lejącej się wody, odparła:

- Dziękuję bardzo, panie Pryor! Chętnie skorzystam z zaproszenia i pójdę z panem na obiad.

- Proszę mówić do mnie po prostu Steve - poprosił.

- Dobrze. Więc, Steve mów mi Becky.

Nawet jeśli Paul słyszał tę krótką wymianę zdań, nie dał tego po sobie poznać. Strząsnął krople wody z rąk i sięgnął po papierowy ręcznik. Potem wziął wielką czarną torbę i bez pożegnania pomaszerował w stronę drzwi.

\*\*\*

Becky zawsze czuła się skrępowana, kiedy zdarzyło się jej pokazać w miejscu publicznym w białym fartuchu pielęgniarki.

Obawiała się, że Steve zabierze ją do jakiegoś wytwornego lokalu, gdzie na pewno będą na nią patrzeć trochę lekceważąco.

Martwiła się niepotrzebnie. Poszli do małej i przytulnej restauracyjki, aż lśniącej czystością. Goście siedzący na sali wyglądali na urzędników i stenotypistki.

- Nie stać mnie na razie na lepszy lokal - przyznał się Steve, stając w kolejce do bufetu samoobsługowego. - Jak już mówiłem, nie należę raczej do elity.

Trocheja to zdziwiło, że tak podkreśla swą sytuację materialną. Być może miało to pewien związek z jego ambicjami politycznymi. Może chciał w ten sposób zaakcentować, że utożsamia się z niższymi warstwami społecznymi. Nie posądzała go o fałsz, ale samochód, którym przyjechali do śródmieścia,

był najnowszym modelem wysokiej klasy. Letni garnitur z przewiewnej, jasnej gabardyny wyglądał na drogi i uszyto go na pewno na miarę. Jeśli Steve rzeczywiście był taki ubogi, jak to usiłował demonstrować, skąd miał pieniądze na kampanię wyborczą, która musiała przecież pochłaniać niebotyczne sumy?

W czasie obiadu poruszył właśnie ten wątek. Mimo iż obiecał, że nie będzie mówił o polityce, nie potrafił widocznie myśleć zbyt długo o czymś innym.

- Kilku bogatych mieszkańców miasta wspiera mnie finansowo - powiedział. - To porządni, zacy ludzie, oburzeni tym, co się tu dzieje. Chcą, by zmienił się styl zarządzania miastem. Myślę, że znajdę poparcie u wielu matek. Nie chcę, żeby ich dzieci wzrastały w doszczętnie skorumpowanym środowisku, gdzie nawet nauczyciele muszą dawać łapówki, żeby dostać pracę.

Mówił o tego typu sprawach jeszcze przez dobrych kilka minut. Potem odstawił filiżankę i zreflektował się:

- Znowu to samo. Przepraszam, naprawdę przepraszam. Nie mogę przestać o tym myśleć. Ale sama jest pani sobie winna, Becky. Potrafi pani wspaniale słuchać.

W gruncie rzeczy wcale nie słuchała go zbyt uważnie. Po prostu nie chciało jej się przerywać tego potoku słów.

Miał tyle do powiedzenia, że kiedy wstali od stolika, okazało się, że jej przerwa obiadowa trwała tym razem znacznie dłużej niż zwykle. W dodatku w drodze powrotnej mknęli w korku i w rezultacie spóźniła się pół godziny.

Doktor czekał na nią. Wrócił, żeby założyć świeżą koszulę i wypić filiżankę kawy.

- Co za dzień! Nawet nie mogłem wypić spokojnie kawy. Ten przekłety telefon dzwonił co dwie minuty.

W jego głosie wyczuła pewne rozdrażnienie. Nie dziwiła się temu. Był na pewno na nią zły. Oczekiwał od niej, że tak jak on będzie przedkładała pracę ponad wszystko.

Po chwili zorientowała się jednak, że chodzi tu o coś innego. Sprawiał wrażenie zmęczonego i był wyraźnie czymś zaniepokojony, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

- Co się dzieje?

- Gdybym to ja wiedział! Obawiam się, że będziemy mieli chyba jakąś epidemię. Kiedy pani nie było, odbyłem sześć wizyt domowych. Za każdym razem to samo: wysoka gorączka, mdłości, bóle, których nie można dokładnie

zlokalizować. Każdy mówił: "Wszystko mnie boli, panie doktorze". Odkąd wróciłem, odebrałem następne cztery telefony. - Potarł czoło. - Nie wiem, co to jest. Jakiś wirus, który spada jak grom z jasnego nieba. Proszę odwołać dzisiejsze popołudniowe przyjęcia, siostrzo Becky. Muszę jeszcze raz obejrzeć kilku pacjentów i odwiedzić tych nowych chorych. Proszę powiesić kartkę na drzwiach.

- Ale ja tutaj... - zaczęła, lecz przerwał jej.

- Chciałbym, żeby poszła pani ze mną.

- Ja? - popatrzyła nań z niedowierzaniem.

Jak dotąd, od chwili, gdy zaczęła pracować u niego, ani razu nie zabrał jej na wizyty domowe.

- Tak, pani! - rzucił jeszcze bardziej niecierpliwie. - Potrzebuję pomocy. Niektórzy pacjenci, u których byłem, są obłożnie chorzy. Pewna starsza kobieta leżała w swym mieszkaniu sama przez trzy dni, aż w końcu sąsiedzi zauważyli, że dawno jej nie widać. Zadzwoiła jej sąsiadka, dobra kobieta, ale nie ma zielonego pojęcia nawet o tym, jak się naciera plecy. Skierowałem ją do szpitala - machnął nerwowo ręką i ciągnął dalej. - Zanim przyjechała karetka, odwiedziłem dwóch innych chorych w tym samym budynku. Jednym z nich był dziesięcioletni chłopiec, którego matka poszła do pracy. Ludzie w sąsiednich mieszkaniach słyszeli, jak płacze. Siostrzo Becky! -zawołał podniesionym głosem. - Niech pani przyczepi kartkę do drzwi i sprawdź moją torbę. Proszę wziąć jeszcze trochę spirytusu do nacierania i kilka mydeł. To niepojęte, ale są ludzie, którzy mogą żyć bez mydła!

Nadal nie wiedziała, czego właściwie od niej oczekuje. Jako uczennica odbyła wprawdzie krótką praktykę u siostry- opiekunki społecznej, która chodziła po domach i opiekowała się chorymi. Ale to było w innej dzielnicy. Nigdy jeszcze tak naprawdę nie przestąpiła progu dzielnicy nędzy, jaką było Małe Chicago.

\*\*\*

Była zupełnie zaskoczona tym, co ujrzała. W pierwszej chwili doznała szoku. Wykonywała wprawdzie wszystkie polecenia Paula, ale robiła to automatycznie, czując się, jakby śniła jakiś zły sen.

Do pierwszego mieszkania musieli się wspinać po rozwalających się schodach na piąte piętro. W dwóch ponurych, śmierdzących stęchlizną pomieszczeniach wegetowało czworo ludzi. Tak, wegetacja to było najbardziej trafne określenie. To, co zobaczyła w tych dwóch nędznych pokojach, urągało nawet najbardziej elementarnym wymogom higieny.

W większym pokoju leżała na łóżku polowym matka trojga dzieci. Przewracała się niespokojnie z boku na bok. Miała wypieki na twarzy, włosy poprzyklejały się jej do spoconego czoła. Obok niej, w łóżeczku, wrzeszczało niemowlę. Dwoje starszych dzieci wcisnęło się ze strachu w kąt.

- Proszę zająć się maluchem - polecił jej Paul. - Wie pani, co robić.

Becky, od czasu zakończenia praktyki na oddziale noworodków, nie dotknęła żadnego dziecka. Wtedy praca sprawiała jej mnóstwo radości. Ale miała wówczas pod ręką całą masę najróżniejszych pudrów, kremów, pieluszek, no i cały czas każdy jej ruch obserwowały czujne siostry oddziałowe.

Niestety, to biedne maleństwo zdawało się nie mieć ani jednego czystego ciuszka na zmianę. W każdym razie Becky, choć przeszukała wszystkie szufladki, nie znalazła nic, żadnej pieluszki ani śpioszka. Nie pozostało jej nic innego, jak namoczyć bieliznę w gorącej wodzie, podgrzanej na kuchni w dużym garze. Uprane rzeczy powiesiła na sznurku.

- Dopóki pieluchy nie wyschną - zaproponował Paul - może spróbuje pani jakoś pomóc pani Thompson. Niech ją pani natrze spirytusem i da kilka kostek lodu do ssania. Ja schodzę na dół, do innych pacjentów. Jak skończę, przyjdę po panią.

Becky nigdy przedtem nie widziała tak staroświeckiej lodówki, chłodzącej za pomocą bloków lodu. Sądziła, że takie urządzenia spotykało się tylko w przeszłości. Jedno z dzieci pokazało jej, jak odrąbuje się małe kawałki od na wpół roztopionej sztaby.

Zanim wrócił doktor, minęła dobra godzina. Okazało się, że zamiast dwóch chorych, o których go zawiadomiono, znalazło się aż pięciu. Cała rodzina zapadła na ową zagadkową chorobę, która spadła zniecka na Małe Chicago.

- Czy możemy tak zostawić tę kobietę? - zapytała Becky i wskazała na łóżko.

- Rozmawiałem z sąsiadką, nie może teraz opuścić dzieci, ale gdy mąż wróci z pracy o trzeciej, przyjdzie tu. Jeśli do tej pory sama nie zachoruje - dodał ponuro Paul. - Biedni ludzie zawsze pomagają sobie w nieszczęściu. Czy to nie dziwne, siostró Becky?

Gdy Thompsonowie po raz pierwszy przestąpili wspólnie próg tego mieszkania, byli biedni jak myszy kościelne. Tuż przed przyjściem na świat trzeciego dziecka ojciec zniknął bez śladu.- I tak nie było z niego wielkiego pożytku. Ale gdyby znało się miejsce jego pobytu, można by przynajmniej wystąpić z wnioskiem o alimenty. Jedynym stałym źródłem dochodów,

pozwalającym utrzymać się tej czwórce, jest zasilek wychowawczy. Niech mi pani przypomni, żebym zadzwonił do opieki społecznej. Muszę jakoś pomóc tej kobiecie. A jeżeli jej stan nie poprawi się do jutra, trzeba ją będzie skierować do szpitala. Dzieci umieścimy wtedy w domu dziecka, do czasu, kiedy matka poczuje się lepiej.

Odwiedzali po kolei różne mieszkania, jedno nędzniejsze od drugiego, a to, co widzieli, napawało Becky zdumieniem i przerażeniem. Paul znał wszystkich tych ludzi. Znał też na ogół powody, dla których musieli wieść nędzne życie w Małym Chicago i które nie pozwalały im wyrwać się z tego środowiska.

- Niektórzy urodzili się tutaj. Nie znają innego życia i nie chcą zmiany. Znam mężczyzn, którzy bez trudu znaleźliby dobrze płatną pracę, ale nie mają takich ambicji. Po prostu im się nie chce.

W tej dzielnicy mieszkało bardzo wiele wdów, które utraciwszy wcześniej mężów, popadły w nędzę i tylko dzięki drastycznym ograniczeniom wydatków, odmawianiu sobie dosłownie wszystkiego, były w stanie odchowić dzieci. Niski czynsz stanowił dla nich jedyny, ale olbrzymi walor Małego Chicago. Nierzadko spotykało się też rozwódki lub kobiety porzucone przez mężów, takie jak pani Thompson.

Na granicy nędzy żyli ze swych rent starzy ludzie, nie mający nikogo bliskiego, kto troszczyłby się o nich. Zarówno teraźniejszość, jak i przyszłość były całkowicie pozbawione nadziei, dlatego nie przejmowali się zbytnio warunkami, w jakich przyszło im mieszkać.

Paul i Becky wszędzie napotykali brud i dziwną chorobę, która wywoływała u ludzi gorączkę i powodowała gwałtowne bóle.

Przez cały dzień Becky pracowała ciężko. Zmieniała pościel, aplikowała lekarstwa, robiła zastrzyki. Nieskończoną ilość razy telefonowała w poszukiwaniu krewnych lub przyjaciół, którzy mogliby zaopiekować się samotnymi chorymi. Dzwoniła po szpitalach, prosiła i wyklócała się o wolne łóżka lub przysłanie karetki. Raz musiała nawet pomóc w znoszeniu noszy z trzeciego piętra, ponieważ przysłano ambulans bez sanitariuszy.

Późnym popołudniem była już u kresu sił. Nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś takiego. Opiekowała się chorymi w szpitalu i pomagała Paulowi w przychodni, ale po raz pierwszy zetknęła się tak blisko z ludzką biedą i nieszczęściem, zobaczyła na własne oczy to, o czym dotychczas tylko słyszała. W niektórych domach nie było nawet butelki mleka lub czystej koszuli nocnej na zmianę. Na każdym kroku widziała nędzę i brak nadziei.

O siódmej wieczorem doktor powiedział:

- Muszę wrócić do przychodni. Niech pani idzie do domu, siostró Becky. Dość się już pani dzisiaj napracowała.

Potrząsnęła głową.

- Jeżeli tak dalej pójdzie, przez całą noc nie zmruży pan oka. Zostanę jeszcze godzinę, dwie. Przyniosę panu kilka kanapek. Od śniadania nie miał pan przecież nic w ustach.

Gdy wrócili na Folger Street, w gabinecie przywitał ich dzwonek telefonu.

Poczekalnia była przepelniona, pacjenci stali nawet w korytarzu i na schodach. Jakiś człowiek złapał Paula za rękaw i krzyczał rozgorączkowany, czyniąc wyrzuty, że doktor jest nieuchwytny, nawet przez telefon, podczas gdy ktoś z jego rodziny zapadł nagle na ciężką chorobę.

\*\*\*

O dziesiątej wieczorem wyszedł ostami pacjent i Paul mógł wrócić do wizyt domowych. Becky towarzyszyła mu przez cały czas. O północy oświadczył głosem nie znoszącym sprzeciwu:

- Na dziś wystarczy! Proszę natychmiast wracać do domu, siostró Becky. Odprawdę panią do samochodu.

Jechała przez miasto, oddychając z ulgą chłodnym powietrzem nocy. Skręciła w Larchmere Street, ulicę wspaniałych parków i okazałych, eleganckich willi.

Dom jej rodziców zbudowany był w klasycznym, gregoriańskim stylu. Nigdy nie wydawał jej się tak piękny, jak dzisiejszej nocy. Odczuła nagłe wielką wdzięczność wobec losu, że ma tak wspaniały dom, jawiący się jej teraz jak oaza spokoju.

W tej chwili miała tylko jedno marzenie: spać! Nie chciało jej się nawet czesać ani smarować twarzy kremem przed snem. Wzięła tylko kąpiel, która nie orzeźwiła jej, tylko zmęczyła jeszcze bardziej. Z westchnieniem ulgi rzuciła się na łóżko i natychmiast zasnęła.



## ROZDZIAŁ III

Tydzień dobiegał końca, a sytuacja prawie się nie zmieniła. Wirus siał spustoszenie. W Małym Chicago nie było rodziny, która zostałaby oszczędzona.

Weekend minął niemal niezauważalnie. Becky z niechęcią wysłuchiwała narzekań matki, która nalegała na rezygnację z przychodni.

- Możesz się zarazić. Czytałam w gazecie, że panuje epidemia. A jeśli przyniesiesz zarazek do domu? Przez ciebie możemy się rozchorować. - Marta Hazlett westchnęła ciężko i lamentowała dalej: - Ach, Rebeko, szkoda, że nie jesteś choć trochę podobna do swojej kuzynki Alice. Jej matka nie ma takich zmartwień jak ja.

Becky słuchała jednym uchem. Rozmowa zawsze schodziła na ten temat, gdy tylko matka zaczynała krytykować tryb życia swej córki. Patrzyła cierpliwie na matkę, puszczając wszystkie zarzuty mimo uszu. Gdy przekraczała próg przychodni, natychmiast o nich zapominała.

Po tygodniu Coleman stwierdził:

- Myślę, że najgorsze już za nami. Dzisiaj ze szpitala wypisano do domu siedmiu pacjentów i są tylko trzy nowe przypadki.

Dziesiątego dnia wszystko bieгло już normalnym torem. Zmniejszyła się nawet ilość wizyt domowych.

- Musimy liczyć się z tym, że coś takiego może się powtórzyć.

Siedzieli w gabinecie, wykorzystując jedną z rzadkich chwil spokoju. Patrząc na twarz Paula, Becky dostrzegła wyraźne skutki tych dziesięciu dni. Wokół ust doktora utworzyły się głębokie bruzdy. Brak snu pozostawił pod oczami sirice. Na ten widok krajało się jej serce. Widziała zmęczenie i zmarszczki wywołane zmartwieniami.

- To będzie wracać - powtórzył. - Wie pani, jak wygląda sytuacja, siostrzeczko Becky. Ludzie są niedożywieni, a tym samym mniej odporni na choroby. Każdy wirus może się rozprzestrzenić z szybkością wiatru, a ciasna zabudowa i fatalne warunki sanitarne pogarszają tylko sytuację.

Wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem po gabinecie.

- Jasne, widziałem, co tu się dzieje. Ale nigdy nie myślałem o tym, żeby zorganizować jakąś szeroko zakrojoną pomoc. Zawsze dążyłem tylko do tego, żeby ludzie mieli jak najwięcej pożytku ze mnie jako lekarza. Resztę chciałem zostawić socjologom.

Odwrócił się do niej. Wystraszyła się jego bladej twarzy. Oczy płonęły złowrogo.

- A teraz?

- Teraz przejrzałem na oczy. Ostatnie dziesięć dni i rozmowa ze Steve'em wyrwały mnie z odrętwienia. Wszystko, co mówił, każde słowo, było prawdą. Taka dzielnica jak Małe Chicago to hańba. - Uderzył pięścią w stół. - Pomogę mu. Steve to porządny facet: uczciwy i wie, czego chce. Będzie pierwszorzędnym burmistrzem, jeśli wygra wybory. On umie walczyć, ale potrzebuje poparcia. Zrobię dla niego wszystko, co mogę. Siostrzeczko Becky, a pani? Czy gotowa jest pani mu pomóc?

- Oczywiście - odpowiedziała bez namysłu.

\*\*\*

"Odpowiedziałabym prawdopodobnie tak samo, gdyby Paul zaproponował mi przepłynięcie kajakiem Niagary" - pomyślała. Była gotowa robić wszystko, co mogłoby ich zbliżyć. Gdy poprosił ją teraz, żeby zaangażowała się w działalność polityczną, zgodziła się, nie wiedząc nawet, na czym ma polegać jej pomoc.

Miała dwadzieścia jeden lat i polityką interesowała się tylko powierzchownie. Wprawdzie w szkole uczono ją przedmiotu, który nazywał się "wiedza o społeczeństwie", ale nigdy nie poświęcała podobnym sprawom większej uwagi.

Wiedziała oczywiście, że istnieje ktoś taki, jak burmistrz, że radę miasta tworzą radni. Matka często zapraszała na przyjęcia różne osobistości. Becky została kiedyś przedstawiona nawet jakiemuś senatorowi, ale generalnie biorąc, politycy kojarzyli się jej tylko z pewnymi znanymi nazwiskami i niczym więcej.

Nigdy dotąd nie czytywała systematycznie gazet, ale od chwili, gdy zaoferowała swą pomoc Steve'owi, zaczęła je przeglądać częściej i dokładniej.

W mieście ukazywały się dwie lokalne gazety. Konserwatywny "Kurier" pojawiał się w domu Hazlettów każdego wieczora. "Echo", które ojciec nazywał brukowcem, było gazetą poranną i miało większy nakład.

"Kurier" w neutralny sposób informował o wydarzeniach politycznych. Z komentarzy redakcji wynikało, że dziennik nie popiera żadnego z kandydatów na burmistrza.

"Echo" natomiast nie tylko popierało sprawującego urząd Thomasa Hardcastle'a, ale ośmieszało jego kontrkandydata Steve'a Pryora. W każdym

niemal numerze nazywano go karierowiczem lub określano "nieopierzonym amatorem cierpiącym na przerost ambicji".

Becky nie rozumiała przyczyny złośliwości, z jaką "Echo" krytykowało Steve'a. Zapytała o to ojca.

- Cóż, kto jest właścicielem gazety? Hardcastle i jego zwolennicy - wyjaśnił pan Hazlett. - To takie proste. Dzięki tej gazecie mają całe miasto w ręku. Ale, ale, dziecinko, czyżbyś interesowała się teraz polityką?

Przytaknęła. Jak dotąd, krąg jej zainteresowań był raczej dość wąski. Będąc panienką z dobrego domu, raz tylko zdobyła się na to, by zmienić coś w płytkim, powierzchownym życiu, jakie wiodła. To było wtedy, gdy podjęła decyzję, że zostanie pielęgniarką i zaczęła ten pomysł realizować.

- Dlaczego akurat pielęgniarką? - biadała matka. - Jeśli chcesz wyuczyć się jakiegoś zawodu, mogłabyś przecież znaleźć coś łatwiejszego. Może coś związanego ze sztuką? Mogłabyś zostać projektantką mody albo dekoratorką wnętrz. A może chciałabyś ukończyć jakiś kurs dla sekretarek? Ojciec załatwi ci dobrą pracę w swojej firmie. Bardzo bym chciała, żebyś wzięła przykład z kuzynki Alice. Gra teraz w tenisa. W jaki sposób chcesz poznać jakiegoś młodego, sympatycznego mężczyznę, jeśli nie spotykasz się z nikim?

W kwestionariuszu, który wypełniała, starając się o przyjęcie do Palmer Memorial Hospital, znalazła pytanie: "Co skłoniło panią do wybrania zawodu pielęgniarki?"

I w ankiecie, i matce odpowiedziała:

- Chcę być pielęgniarką, żeby nadać swemu życiu jakiś sens.

Dziewczęta z jej środowiska od wczesnych lat obarczano obowiązkami towarzyskimi. W szkole średniej ciągle musiała chodzić na jakieś potańcówki, a skończywszy czternaście lat, miała już za sobą kilka prawdziwych przyjęć. W jej sferze matki wpajały córkom przede wszystkim jedno: mają być ładniejsze i miłsze od koleżanek i powinny dobrze wyjść za mąż. Szesnastolatkę, która nie obracała się w określonych kręgach towarzyskich i której nie zapraszano na prywatki, uważano niemal za starą pannę.

Becky przez pewien czas poddawała się tym naciskom. W końcu ją to znudziło. Coś, co wiązało się z istotą jej osobowości, kazało jej się wycofać z tego środowiska.

- Dlaczego ty zawsze musisz płynąć pod prąd? - narzekała matka, gdy Becky dokonała wyboru zawodu.

Była dobrą uczennicą i stała się wkrótce dobrą pielęgniarką. Oswoiła się z dyscypliną, nauczyła wykonywać swą pracę szybko i pewnie, t jeśli nawet

odnosiła się do chorych jakby trochę mniej serdecznie niż większość jej koleżanek, inne zalety z nadwyżką rekompensowały tę cechę. Szybko się przekonała, że pielęgniarki, które stale przesiadywały przy łóżku pacjenta, wysłuchując skarg i opowieści o problemach osobistych, nie były w stanie wykonać wszystkich zadań, jakie im wyznaczono i musiały zostawać po godzinach.

Trzy lata nauki to nie był łatwy okres. Czasami chciała rzucić to wszystko i nigdy już tu nie wrócić. Najbardziej nie lubiła oddziału psychiatrycznego. Dyżury w ambulatorium też nigdy nie sprawiały jej radości. Ale już na pierwszym roku poznała doktora Paula Colemana i to zadecydowało o tym, że pozostała w szkole.

Doktor Coleman poświęcał jej nie więcej uwagi niż innym pielęgniarkom. Był miły i uprzejmy, przynajmniej tak długo, dopóki wykonywało się jego polecenia i dobrze opiekowało chorymi. Ale zawsze zachowywał dystans wobec współpracownic, nigdy nie dostrzegał tęsknych spojrzeń, które posyłało mu wiele dziewcząt. Nie miał pojęcia, jakie spekulacje wywoływała jego osoba.

- Czy ma żonę?... Jak myślisz, dlaczego wyprowadził się do najpodlejszej dzielnicy miasta?... Czy potrafisz sobie wyobrazić, że pojawia się gdzieś w towarzystwie kobiety i prosi ją do tańca?

Wszystkie młode, niezamężne pielęgniarki marzyły o Paulu, toteż wkrótce zainteresowała się nim również Becky. A ponieważ tak wiele dziewcząt chciało go zdobyć, postanowiła, że będzie należał do niej. Tak to się zaczęło. Początkowo nie było to głębokie, prawdziwe uczucie. Ale teraz, po roku, gdy już wiedziała, jak oddany jest swojej pracy, była w nim zakochana po uszy.

Decydując się, że wraz z Paulem poprze Steve'a, pozyskała nowe możliwości kontaktów z mężczyzną, którego wybrała. Będą teraz częściej spędzać wspólne wieczory. Może coś się zmieni? Paul nigdy jeszcze nie dzielił z nią wolnego czasu. Może z czasem zacznie ją traktować inaczej...

\*\*\*

Gdy Steve dowiedział się o decyzji przyjaciela, jego radość nie miała granic.

- Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele - ostrzegł Paul. - Nie mam czasu, żeby chodzić od drzwi do drzwi i rozdawać ulotki. Ale przy każdej okazji będę dobrze mówił o tobie i namawiał, by głosowano na ciebie. A jeżeli będzie konieczne wsparcie finansowe...

Steve przyznał otwarcie, że przyda mu się każdy dolar.

- Musimy myśleć realnie. W dzisiejszych czasach, żeby wygrać wybory, trzeba mieć pieniądze. Kiedyś było inaczej, można było stanąć na rogu ulicy i wygłaszać przemówienia do tłumu. Dziś trzeba występować w telewizji, a każda minuta kosztuje majątek. Do tego dochodzą różne inne koszty związane z reklamą. Ja jeszcze nawet na dobre nie zacząłem, a Hardcastle zakleił już swoimi plakatami całe miasto.

Paul otworzył szufladę biurka i wyjął książeczkę czekową. Kiedy wypisywał czek, Becky zwróciła się do Steve'a.

- Ja także chciałabym coś ofiarować. Postaram się pomóc najlepiej, jak potrafię.

Spojrzał na nią zdziwiony i uśmiechnął się.

- Dziękuję, pani milionerko. Przyjmę wszystko z wdzięcznością.

Ani ona, ani Paul nie pytali, co zrobi z pieniędzmi. Becky było to obojętne, byle tylko cel był słuszny. Mimo to rozzłościła się trochę, gdy się dowiedziała, na co je zużył.

Kiedy dwa dni potem późnym wieczorem wróciła z dyżuru, matka czekała na nią z miną nie wróżącą nic dobrego.

Na twarzy Marty Hazlett wciąż jeszcze można było dostrzec ślady dawnej piękności. Była kobietą dumną, świadomą swej przynależności do wyższej warstwy społecznej i reprezentującą typową dla tejże mentalność. I chociaż była teraz naprawdę wściekła, prawie nie okazywała tego po sobie.

Wzięła leżącą na stoliku gazetę i wręczyła córce.

- Jeżeli już koniecznie chcesz oglądać swoje nazwisko w prasie - zaczęła surowo - czy nie byłoby wskazane trochę więcej dyskrecji?

Becky przejrzała tytuły, ale nie znalazła nic, co mogłoby wywołać podobny komentarz. Potem wzrok jej padł na wydrukowaną tłustą czcionką reklamę. Nazwisko Steve'a wypisano tam ogromnymi literami.

"Potrzebna nam radykalna przemiana polityczna" -brzmiało pierwsze zdanie. Dalej przedstawiono sylwetkę Steve'a, jego kwalifikacje i cechy charakteru. Czytała dalej, aż natknęła się na własne nazwisko. Zaczerwieniła się. W rogu stało czarno na białym:

"To ogłoszenie ukazało się dzięki doktorowi nauk medycznych, Paulowi Colemanowi i pani Rebecce Hazlett, pielęgniarce".

- Co, na miłość boską, w ciebie wstąpiło? - zapytała z wyrzutem pani Hazlett - Jak możesz mieszać się w coś takiego? Czy nie wiesz, że żona Toma Hardcastle'a jest w zarządzie naszego Stowarzyszenia Kobiet? Ja osobiście nie przepadam za nią, ale istnieją przecież jakieś normy towarzyskie. Poza

tym ta kobieta ma ogromne wpływy. Bez pomocy Katarzyny Hardcastle stowarzyszenie musiałyby z wielu rzeczy zrezygnować. Gdy ukazało się to okropne ogłoszenie, bez przerwy dzwonił telefon. Ten tekst zdenerwował co najmniej tuzin moich przyjaciółek. Chcą się dowiedzieć, dlaczego angażujesz się w takie sprawy. A właściwie, jak do tego doszło?

Becky nie wiedziała, co odpowiedzieć. Do głowy jej nie przyszło, że Steve publicznie ogłosi, kto mu pomógł. Zrobiło jej się przykro, że postawiła matkę w niezręcznej sytuacji.

Następnego dnia zmieniła zdanie.

Ostatni pacjent opuścił właśnie przychodnię. Becky porządkowała rozrzucone w poczekalni czasopisma. Schyliła się, żeby podnieść jakieś pismo z podłogi, gdy naraz rozległ się brzęk tłuczonego szkła. U jej stóp wylądował kamień. Dziewczyna zamarła, wpatrując się w okrągły, szary przedmiot

Paul wypadł z gabinetu i zawołał:

- Co to było?

Bez słowa pokazała ręką kamień. Podniósł go i zważył w dłoni. Dziwnie blady popatrzył na nią, potem przeniósł wzrok na leżące na podłodze kawałki szkła.

- Dzieci? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. Słyszałam warkot silnika. Samochód ruszył w tym samym momencie, w którym kamień wybił szybę.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Paul odwrócił się, nie mówiąc ani słowa i podszedł do drzwi. Pospieszyła za nim i dogoniła go na schodach. Na niższych stopniach stało kilku wyrostków. Doktor podniósł kamień do góry.

- Czy to któryś z was rozbił moje okno? Jasnowłosy chłopak z czupurnym kosmykiem opadającym na czoło odpowiedział w imieniu całej grupy.

- To nikt z nas, psze pana doktora. Staliśmy sobie tutaj tak jak teraz.

Paul nie dał się zbić z tropu.

- Ale musieliście przecież widzieć, kto to zrobił.

- No tak. Więc nagle wyjechał z za rogu samochód. Jechał całkiem wolno. Potem ktoś otworzył drzwi i rzucił kamieniem w szybę. A potem ci faceci się zmyli.

- Widzieliście dobrze tych ludzi? Jaki to był samochód?

Istotnie, rozpoznali samochód. Jak wszyscy chłopcy w tym wieku, znali na pamięć wszystkie marki i chociaż nie zwrócili uwagi na pasażerów, bezbłędnie zidentyfikowali nowego cadillaca z miejską rejestracją.

- A na tylnej szybie była taka nalepka - dodał jasnowłosy chłopak. - Takie tam polityczne głupoty: „Hardcastle musi pozostać burmistrzem”.

Paul wzruszył ramionami.

„Teraz, gdy już wie, kto stoi za tym wszystkim, nie chce pewnie badać dalej całej sprawy - pomyślała Becky. - Lekarze nie powinni mieszać się do podobnych rzeczy”.

Zresztą nieraz już słyszała, że Paul nie ma zaufania do miejscowej policji. Gdyby zameldował o wypadku, pociągnęłoby to za sobą rutynowe śledztwo. Doktor, chłopcy i ona zostaliby przesłuchani. Pojawiliby się dziennikarze i fotoreporterzy. Cała sprawa zostałaby przedstawiona w odpowiednim świede i niepotrzebnie rozdmuchana. Hardcastle i jego klika trzymali w ręku całe miasto.

Z okna wychyliła się jakaś kobieta i oparta na łokciach z zainteresowaniem obserwowała ten, bądź co bądź, niecodzienny epizod. Kilku przechodniów zatrzymało się obok chłopców. Potem otworzyły się drzwi sąsiedniego domu i na arenę wkroczył Robin Houdachak.

- Co tu się dzieje? - zawołał. - Macie zebranie, czy co?

Gdy podszedł bliżej, zachowanie chłopców zmieniło się jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W milczeniu patrzyli na Robina, a ich spojrzenia wyrażały nabożne uwielbienie połączone z respektem.

- Co to za przedstawienie? - Zwrócił się do jasnowłosego chłopca, kładąc mu rękę na chudym ramieniu. - Opowiadaj, Whitey.

- Ktoś rzucił kamieniem w okno doktora. Wzrok Robina natychmiast powędrował ku Becky, stojącej na jednym z wyższych schodków.

- Pani była przy tym, panno Hazlett? Chyba nic się pani nie stało?

Ton jego głosu sprawił, że się zarumieniła. Brzmiał tak delikatnie, opiekuńczo.

- Nic mi się nie stało - zapewniła. - Nie ma żadnych szkód oprócz rozbitej szyby.

- Kto to zrobił? - zapytał ze złością. - To któryś z was, gówniarze? Chyba nie zapomnieliście, przed czym was ostrzegałem. Łapy precz od doktora Colemana.

Whitey natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem, że nikt z nich nie maczał w tym palców. Opowiedział całą historię. Oczywiście Robina, wciąż spoczywające na Becky, błyszczały jak stal. Zmieszana, zamierzała wycofać się do domu. Ale zanim zdążyła zniknąć w korytarzu, dobiegł ją głos Robina.

- Znajdę tego cholernego faceta, a wtedy się nie pozbiera. Niech się nikt nie waży tknąć palcem kogoś, kogo darzę sympatią. W przeciwnym razie będzie miał do czynienia z Robin Hoodem!

- Daj spokój, Robin, nie chcemy robić szumu wokół tej sprawy - próbował wtrącić się Paul. Nikt go nie słuchał.

Wszyscy patrzyli na Becky, stojącą w drzwiach. Gdy skierowała wzrok na stłoczoną w dole gromadkę, ujrzała malujący się na twarzach chłopców wyraz szacunku i uznania. Po tych kilku słowach Robin Hooda urosła w ich oczach do rangi osoby o szczególnej pozycji. Najprawdopodobniej uznali, że jest dziewczyną Robina.

\*\*\*

Robin zdawał się myśleć tak samo. Od tej pory każdego ranka czekał na Becky na ulicy. Wieczorami często wystawał pod drzwiami w otoczeniu podziwiających go wyrostków, więc musiała wciąż natykać się na niego.

Wyglądało na to, że w ciągu jednej nocy nauczył się dobrych manier. Zachowywał się teraz prawie jak dżentelmen. Na jej widok zrywał z głowy czapkę z daszkiem, rzucał się otwierać drzwi samochodu i wprowadzał pod rękę na sam szczyt schodów.

Becky złościło to i bawiło jednocześnie. Nie traktowała Robina poważnie. Wiedziała, że zachowując dyskrecję w sprawie owego wypadku z butelką, zyskała sobie jego szacunek. Mimo to z czasem zaczęło jej ciążyć nadszkarowanie. Poza tym poczuła się dosyć niezręcznie, gdy zauważyła któregoś dnia, że Paul uśmiechając się ukradkiem, obserwuje z rozbawieniem poranny spektakl Robina.

- Widzę, że dokonała pani podboju - stwierdził doktor. - Za każdym razem, kiedy przychodzę albo wychodzę, spotykam naszego bohatera. Chciał ze mnie wyciągnąć pani adres. I zagroził mi śmiercią, w razie gdyby coś się pani stało.

Paul przestał się przejmować incydentem z wybitą szybą. Być może zapomniał już nawet o całym zajściu. Robin natomiast przeciwnie, wciąż powracał w czasie ich krótkich rozmów do tej sprawy.

- Moim zdaniem było to tylko pierwsze ostrzeżenie. Musi być pani ostrożna. Z tymi facetami nie ma żartów. Odpowie pani za to, że odważyła się



poprzeć Steve'a Pryora. Potrzebny jest pani ktoś, kto będzie panią chronił - powiedział zachęcającym tonem.

Zazwyczaj tego rodzaju wypowiedzi zbywała machnięciem ręki. Nie miała nawet czasu, żeby zainteresować się przebiegiem kampanii wyborczej. I ona, i Paul byli pierwsze dwa tygodnie września bardzo zapracowani. Mimo iż po epidemii pozostało tylko wspomnienie, wciąż mieli pełno roboty. Zaczął się nowy rok szkolny, więc poczekalnia wypełniła się tłumem dzieci, które trzeba było zaszczepić i zbadać. Nadeszła fala upałów, a z nią pojawili się pacjenci z chorobami serca i układu krążenia. Potem nastąpiła nagła zmiana pogody i w poczekalni zaroilo się od chorych na artretyzm i reumatyzm.

Tylko co jakiś czas, całkiem przypadkowo, docierały do Becky informacje o przebiegu walki o fotel burmistrza, która teraz dopiero nabrała rumieńców. Tytuły w gazetach drukowano coraz większą czcionką. Kandydaci organizowali publiczne dyskusje; gorące potyczki słowne rozpały umysły i emocje tłumów.

Całe miasto było obwieszane plakatami wyborczymi obu kandydatów.

Becky uznała, że jeśli o nią chodzi, zrobiła już dostatecznie dużo, by poprzeć kampanię Steve'a. Dała mu czek, a on wykorzystał go w sposób, który przysporzył jej wielu przykrości. Gdyby Paul nie poprosił jej o dalsze wsparcie, wolałaby się trzymać raczej z dala od tej twardej, ostrej walki.

Marta Hazlett wciąż jeszcze boleśnie przeżywała polityczne zaangażowanie córki. Ale Becky dobrze znała matkę. Gdy coś ją dręczyło, zamiast wyrzucić to z siebie na zewnątrz, ukrywała głęboko w duszy, zatruwając sobie życie. Ukarła córkę w ten sposób, że przestała się do niej niemal w ogóle odzywać. Wkrótce Becky poczuła się we własnym rodzinnym domu jak nieproszony gość.

Za namową żony, choć nie bez wahania, Lawrence Hazlett postawił córce ultimatum. Jeżeli jeszcze raz w prasie ich nazwisko zostanie połączone w jakikolwiek sposób z Małym Chicago, Becky będzie musiała zrezygnować z pracy.

Warunek był twardy i zdaniem Becky niesprawiedliwy. Ale nie wiedziała, jakimi argumentami się bronić. Wciąż była materialnie uzależniona od rodziców. Pensja, którą płacił jej Paul, nie wystarczyłaby w żadnym wypadku, gdyby chciała stanąć na własnych nogach.

Komuś innemu na jej miejscu wystarczyłoby na pewno. Ale nie pannie Hazlett, która nie wiedziała, co to znaczy "zrezygnować" i "ograniczyć się". Zawsze miała do dyspozycji wystarczająco dużo pieniędzy. Jej pokój,

podobnie jak wszystkie ich obszernej willi, był duży i urządzony ze smakiem. Miała własny sprzęt stereo i ogromną kolekcję płyt Dwie szafy wypełnione były sukienkami, garsonkami i płaszczami, o jakich inne dziewczyny mogły tylko marzyć.

Buty kupowała tylko w najdroższych i najbardziej ekskluzywnych sklepach. Miała samochód, którego samodzielnie nie mogłaby utrzymać. Ojciec płacił nie tylko podatek i ubezpieczenie, ale pozwalał jej nawet korzystać ze swej karty kredytowej, kiedy chciała uzupełnić paliwo.

Pewnego ranka samochód zepsuł się. Silnik nie chciał zapalić i trzeba było odholować wóz do warsztatu naprawczego. Becky nie pozostało nic innego, jak pojechać do pracy taksówką. Gdy skręciła w Folger Street, ujrzała Robina czekającego już na nią na schodach przychodni.

Gdy spytał, co się stało, odparła, że dziś musi się obyć bez samochodu. Nie zdziwiła się zatem, gdy wychodząc z pracy po południu, zobaczyła, że czeka na nią oparty o własne auto.

Samochód Robina był dokładnie taki, jakiego się po nim spodziewała. Jaskrawa czerwień lakieru kojarzyła się z wozem strażackim. Wszystkie detale, nie wyłączając błyszczących, chromowych klamek, dobrano tak, by zwracały uwagę otoczenia.

Robin podszedł do niej, prosząc, by pozwoliła mu zawieźć się do domu. Jeżeli chciała uniknąć sceny, nie miała wyboru, musiała przyjąć propozycję.

Wsiadła do środka, starając się jak najmniej rzucać w oczy. W duchu modliła się, żeby nie spotkać nikogo znajomego. Jednocześnie postanowiła, że każe się wysadzić w pewnej odległości od willi rodziców.

Zapytał ją o adres. Odpowiedź wywarła na nim spore wrażenie. Gwizdnął cicho przez zęby i powiedział ochryplym głosem:

- Mieszka pani w dzielnicy, gdzie mają swoje wille same grube ryby? Hej, kim pani właściwie jest? Jest pani bogata czy coś w tym rodzaju?

- Nie - odparła krótko.

Nie chciała mu tłumaczyć, jemu, który zdawał się uwielbiać pieniądze, że w dzisiejszych czasach ludzi naprawdę bogatych jest niewielu. Mogłaby mu wyjaśnić, że wysokie podatki i koszty utrzymania takiej willi, jaką mieli rodzice, tworzyły łącznie bająnskie sumy. Robin z pewnością nie dałby temu wiary.

Uważał mieszkanie w dzielnicy willowej za przywilej i prawdopodobnie żywił urazę do wszystkich ludzi, którzy z niego korzystali.

Zastanawiała się, kim Robin będzie w przyszłości. Był młody, miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Nie mógł być przecież zepsuty do szpiku

kości. Istniała chyba jakaś szansa na to, że się zmieni i zrozumie, jak bezsensowne jest życie, które teraz prowadzi.

Becky nie zamierzała przejmować się zbyt losem młodych mężczyzn, którzy zeszli na manowce, ale lubiła Sabinę Houdachak i wiedziała, jak bardzo martwi się o syna. W zasadzie nie czuła do Robina niechęci. Nie mogłaby nienawidzić mężczyzny, który tak wyraźnie starał się jej podobać i schlebiał jej próżności. Poza tym to, że Robin wkroczył na drogę przestępstwa, mogło być spowodowane wyłącznie jego niedojrzałością. Po prostu nie znał, być może, innego sposobu, żeby zwrócić na siebie uwagę, zdobyć rozgłos i popularność.

W duchu porównała go do rozbrykanego szczeniaka, ale jednocześnie pamiętała o tym, że nawet młode psy potrafią kąsać.

- Ci chłopcy - powiedziała, gdy jechali ulicami Małego Chicago - szczerze pana podziwiają. Jest pan dla nich autorytetem. Podejrzewam, że wielu z nich chciałoby panu dorównać.

Robin odetchnął głęboko.

- Pani mogę to powiedzieć. Widzi pani, mnie się udało. Wszyscy oni są zwykłymi pętakami. Ja też takim byłem. Każdy ma nad nimi władzę, od inspektora z opieki społecznej po szeregowego glinę. Ja postanowiłem zostać kimś więcej. Nie chciałem być zerem. I udało mi się, pani... Ma pani na imię Becky, prawda? Dobrze więc, od teraz jest pani dla mnie Becky. Nie chciałem być zerem - powtórzył. - A teraz jestem kimś. Może pani mi wierzyć, w Małym Chicago to ja jestem szefem. Może pani być tego pewna na sto procent. Ludzie wiedzą, kto tu rządzi.

Miała więc rację, przypuszczając, że Robin wszedł na drogę przestępstwa przede wszystkim po to, żeby zyskać poważanie otoczenia. Ale nadzieja, że kiedyś mógłby się zmienić, mocno przybladła.

Najwyraźniej nic mu nie sprawiało większej przyjemności niż opowiadanie o sobie i swych wyczynach. Usta nie zamykały mu się przez całą drogę aż do Larchmere Street. Becky jak zahipnotyzowana słuchała opowieści o występkach, których dopuszczał się, począwszy od dwunastego roku życia.

W rezultacie zupełnie zapomniała poprosić go, by wysadził ją narogu. Dopiero gdy dojechali już prawie pod sam dom rodziców, zauważyła, gdzie są.

- Tutaj! - zawołała. - Niech pan skręci w następną zatoczkę.

Robin z piskiem opon wjechał na podjazd. Becky wyskoczyła z samochodu, nie czekając, aż się całkiem zatrzyma.

- Dziękuję za podwiezienie - powiedziała odruchowo.

Wciąż jeszcze była pod wrażeniem opowieści o jego przestępczych wyczynach. Wiedziała teraz, że jego filozofia życiowa pozbawiona była zupełnie jakichkolwiek zasad etycznych i że nie było dla niego żadnego ratunku. I gdy pomyślała o Sabinie Houdachak, poczuła, że wzbiera w niej złość. Steve miał rację. Jeśli ktoś taki jak Robin czuł się bezkarny, to w mieście działo się naprawdę źle.

- Mogę przyjechać po panią jutro rano - zaproponował.

Potrząsnęła głową.

- Mój samochód będzie już na chodzie. Ale mimo to dziękuję.

RS

## ROZDZIAŁ IV

Becky, bardzo zdenerwowana, przekroczyła próg willi. Jeżeli matka zauważyła jej przybycie, zacznie się przesłuchanie. Jak jej wyjaśni znajomość z Robinem Houdachakiem? W jaki sposób mogłaby ukryć prawdę? Znała dobrze swą matkę i wiedziała, że gdy już zakiełkuje w niej podejrzenie, że coś się przed nią ukrywa, będzie drażyła uparcie sprawę tak długo, dopóki nie dowie się całej prawdy.

Ale tego popołudnia pani Hazlett zajęta była czymś innym.

Gdy Becky wchodziła do holu, matka schodziła właśnie w pośpiechu po długich, kręconych schodach. Jej twarz, ożywiona jakimś niezwykłym blaskiem, odzyskała jakby dawny, dziewczęcy czar.

- Zgadnij, kto u nas jest? - zawołała radośnie podniecona. - Co za niespodzianka, Rebeko! Dziś po południu przyjechała twoja kuzynka Alice! Byłam na spotkaniu naszego stowarzyszenia i kiedy wróciłam do domu, nasz gość wprowadzał się właśnie do pokoju gościnnego, tego, który sąsiaduje z twoim - spojrzała z wyrzutem na Becky. - Gdybyś była w domu, jak przystało na porządną córkę, Alice nie zostałaby powitana tylko przez służącą.

- A więc to Alice - w głosie Becky trudno by się było doszukać radości.

Obie dziewczyny nigdy nie przepadały za sobą. Alice Coatsworth od niepamiętnych czasów stawiano Becky, młodziej o dwa lata, za wzór wszelkich cnót.

Uchodziła za "przykładną córkę", czego Marta o swej latorośli powiedzieć nie mogła.

Alice chodziła do ekskluzywnej szkoły dla panienek z dobrych domów. Gdy miała osiemnaście lat, wzięła udział w swym pierwszym balu. A w zeszłym roku odbyły się jej zaręczyny z obiecującym, młodym człowiekiem, łączącym w sobie wszystkie cechy idealnego zięcia: był bogaty, ambitny i pochodził z dobrej rodziny. Ustalono już, że ślub odbędzie się na wiosnę, Becky miała wystąpić w roli druhny. Teraz jednak matka szeptała jej na ucho:

- Biedna Alice! Ma złamane serce. Zaręczyny z Davidem zerwane. Niczego więcej nie mogłam się dowiedzieć, bo sprawa jest dla niej ciągle jeszcze zbyt bolesna. - Westchnęła i uprzedziła córkę:

- Uważaj, Rebeko, na to, co będziesz mówić. Ona jest taka wrażliwa! Wyobraź sobie, przyjechała tu do nas, bo nie mogła dłużej znieść domu i tych wszystkich wścibskich ludzi, bez przerwy przypominających jej o utraconym szczęściu!

- Zostanie na dłużej?

- Nie pytałam. Ale byłoby oczywiście lepiej, gdyby się na to zdecydowała. Może u nas zapomni o wszystkim. Bądź miła dla swej kuzynki.

Alice wprowadziła się do największego pokoju gościnnego. Dominował tam kolor różowy; na podłodze rozpościerał się różowy dywan, różowy kolor miała jedwabna pościel, a w oknach wisały blad różowe firanki.

Barwa ta harmonizowała z subtelną urodą dziewczyny. Podobnie jak Becky, Alice miała twarz o regularnych, delikatnych rysach, zadarty nosek, podobnie jak kuzynce tworzyły się jej, gdy się uśmiechała, dołeczki na policzkach. Była również blondynką, ale miała włosy jaśniejsze niż Becky i nosiła je rozpuszczone. Ze swym nieśmiałym uśmiechem i sarnimi, niewinnymi oczami wyglądała jak zwiewna, nieziemska istota.

Gdy Becky wkroczyła do pokoju, twarz Alice rozjaśniła się uśmiechem, a w oczach zalśniły szelmowskie isierki.

- Witaj, kuzyneczko! - zawołała pogodnie. - Czy nie sądzisz, że to niespodzianka roku zobaczyć mnie nagle w sąsiednim pokoju? A tak między nami, ja też nieźle się zdziwiłam. Stałam właśnie w oknie, gdy wróciłaś do domu. Co to za wóz? Fantastyczny kierowca! Opowiadaj, kim jest ten mężczyzna?

Becky zawahała się. Nigdy tak naprawdę nie ufała Alice, ponieważ kuzynka już jako dziecko skarżyła na nią. Opowiadała historie, z których wynikało, że Alice jest wzorem cnót, Becky zaś, niestety, wyrodną córką.

- To tylko znajomy - zbyła ją w końcu. - Cieszę się, że nas odwiedziłaś, Alice. Przykro mi tylko, że nie było nikogo, kto mógł cię przywitać. Dlaczego nie napisałaś ani nie zadzwoniłaś, że przyjeżdżasz?

Udało jej się odwrócić uwagę kuzynki od niebezpiecznego tematu.

- Ach, to była nagła, spontaniczna decyzja. Po prostu nie wytrzymuję już w domu. Matka popłakuje i załamuje ręce. Nie mogłam już tego dłużej słuchać. Można by sądzić, że popełniłam morderstwo, a ja przecież tylko zerwałam zaręczyny. - Wzruszyła ramionami. - Co miałam robić? - spytała. - Miałam rzucić się na niego, żeby go tylko zatrzymać? To matka szalała za nim, nie ja. Ja popełniłam tylko ten błąd, że dałam go sobie wtrynić. Becky zapytała ze zdziwieniem:

- Chcesz przez to powiedzieć, że nigdy nie kochałaś Davida?

- Na Boga, nie! Tego nudziarza? Gdy byłam razem z nim, czułam się jak w grobowcu. - Oczy Alice błyszczały, a na twarzy pojawił się grymas, który pozbawił ją całkowicie poprzedniego uroku. - Nie wyobrażam sobie, żebym

mogła związać się z mężczyzną, który już teraz jest starcem. Myślisz, że mam ochotę udawać przyzwoitą damę? Głupie przyjaciółeczki, śmiertelnie nudni znajomi Dave'a i kupa dzieci? Co to, to nie. - Nagle znowu przypomniała sobie Robina. - Powiedz, kim był ten facet w samochodzie? Jeżeli nie powiesz mi wszystkiego, ciotka Marta dowie się ode mnie, że pozwalasz się odwozić podejrzanym typom. Ten wyglądał, jakby właśnie wracał z napadu na bank czy czegoś w tym rodzaju.

Alice była zdolna do tego. Becky wiedziała o tym bardzo dobrze. Wyjaśniła więc, dlaczego Robin Houdachak odwiózł ją do domu. Kuzynka wyciągnęła z niej jeszcze informacje o tym, jak poznała Robina, co z kolei pociągnęło za sobą pytanie, co w ogóle robiła w Małym Chicago.

- Jak to się stało, że twoje nazwisko znalazło się w gazecie? - wypytywała dalej. - Ciocia Marta wspomniała mi coś o tym. Nie zdawała się być zbyt szczęśliwa z tego powodu.

Przyciśnięta do muru Becky opowiedziała o Steve'ie i jego kampanii wyborczej. Alice skomentowała to z chytrym wyrazem twarzy:

- Boże, jakaś ty zachłanna! Trzech mężczyzn naraz, nieźle, całkiem nieźle! Lecą do ciebie jak pszczoły do miodu. Lekarz, u którego pracujesz, ów zepsuty do szpiku kości chłopak z ulicy i ten facet, który chce zostać burmistrzem. A który z nich kocha się w tobie?

- Żaden - odparła szybko Becky. - Robin uważa po prostu, że musi mnie chronić. Od tego wypadku z kamieniem...

Alice nadstawiła uszu i znowu zaczęła zadreć Becky pytaniami i nie uspokoiła się, dopóki ta nie opowiedziała jej dokładnie całego zdarzenia. Potem rozparła się wygodnie w fotelu, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce emocji.

- Coś podobnego! - zawołała przeciągle. - I to właśnie ty! Gdybym wiedziała, że dzieją się tutaj takie rzeczy, już wcześniej bym przyjechała. Tu chyba nigdy nie można się nudzić. Wyobrażam już sobie, jaką ciekawą masz pracę. Teraz, skoro już tu jestem, musisz mnie koniecznie zabrać do Małego Chicago i poznać z tymi wszystkimi ludźmi. A zwłaszcza z Robin Hoodem.

- Nie wiem, czy to rozsądne z twojej strony. Alice podskoczyła do góry i zakręciła się na środku pokoju. Potem rzuciła się ze śmiechem na łóżko.

- A więc wszystko jasne. Sądząc po błysku w twoich oczach, ten lekarz musi być pysznym kąskiem. No! no! Tylko nie zaprzeczaj! - zawołała, widząc, że Becky chce zaprotestować. - W sprawach miłości jestem prawdziwym ekspertem. Potrafię stać z boku i patrzeć, jakich głupców robią z

siebie ludzie. Obserwuję, ale nigdy się nie mieszam. Gdy tylko zaczęłaś mówić o swoim lekarzu, od razu wyczułam, co się święci. Chyba naprawdę musi być wspaniały. Ale ostrzegam cię już teraz. Jeśli spodoba mi się, to... - zachichotała. - Albo ten Robin Hood. Prawdziwy gangster! Nie mogę się doczekać.

- Naprawdę jesteś nierozsądna - stwierdziła Becky, ale Alice podjęła już decyzję.

- Wiesz co? Jutro rano zabierzesz mnie ze sobą. Potrzebuję trochę rozrywki, żeby dojść do siebie po tym fatalnym romansie. Odczuwam potrzebę zrobienia czegoś dla tych biednych, pokrzywdzonych przez los ludzi. Może nawet pomogę ci w Małym Chicago.

\*\*\*

Kiedy następnego ranka Becky zeszła na dół, Alice siedziała już przy stole nakrytym do śniadania. Usiadła tyłem do okna i promienie słońca igrały wesoło na jej złotych włosach, zebranych na karku w klasyczny koński ogon. Nie umalowana twarz sprawiała wrażenie niesłychanie niewinnej i łagodnej. W ciemnej sukience z białym kołnierzykiem wyglądała jak pensjonarka.

W domu Hazlettów śniadanie traktowano niemal jak rytuał; obowiązywały przy nim reguły, których nie wolno było naruszyć. Wszyscy musieli przychodzić do stołu punktualnie o określonej porze. Niedopuszczalne były bardziej swobodne stroje: damskie spodnie, szorty czy szlafrok. Reguły te obowiązywały nawet w niedzielę, jedyne ustępstwo dotyczyło pory posiłku: śniadanie podawano wówczas o dwie godziny później niż w dni powszednie.

Zasady obowiązujące przy śniadaniu należały do nielicznych norm życia codziennego, których przestrzegania pan Hazlett wymagał od żony i córki. Nie było od nich żadnego odwołania.

Posłał swej siostrzenicy pełne uznania spojrzenie.

- Alice pierwsza była dziś przy stole.

- Jestem przyzwyczajona do wczesnego wstawania, wujku Larry - obdarzyła go cukierkowym uśmiechem. - Niezależnie od tego, o której kładę się spać, wstaję zawsze razem z ptakami.

Pani Hazlett zmarszczyła czoło.

- Co ty będziesz dziś robić przez cały dzień, drogie dziecko?

- To Becky nic nie mówiła?

Alice z niemym wyrzutem zwróciła swe anielskie oczęta na Becky. Becky poczuła, że czerwienieje ze złości. Przejrzała na wylot taktykę Alice. Państwo Hazlett z pewnością nie pochwaliliby pomysłu zwiedzenia Małego Chicago.



Ale gdy usłyszą, że Becky wiedziała o jej zamiarze i nie zrobiła nic, żeby ją od niego powstrzymać, będą mieli pretensje nie do Alice, lecz do własnej córki.

- Pojadę dziś z Becky do jej przychodni. - Alice uniosła swój drobny podbródek, a w jej oczach zapłonął szlachetny zapal. - Sądzę, że już czas zacząć robić coś pożytecznego. Lawrence Hazlett zaprotestował.

- Wystarczy, że już jedna osoba z naszej rodziny uczepliła się tego paskudnego miejsca i...

Przerwał mu ostry głos żony.

- Ależ Alice, kochanie, nie mogę na to pozwolić. Twoja matka nie wybaczyłaby mi tego. Cóż ty właściwie zamierzasz robić w tej dzielnicy?

- Nie zabawię tam długo - oświadczyła Alice. - Właściwie w samym Małym Chicago nie chciałabym pracować. Marzy mi się raczej zajęcie w szpitalu. Chciałabym pomówić o tym z doktorem Colemanem, o którym opowiadała mi Becky, i zapytać go, gdzie mogą potrzebować pomocy pielęgniarek. Wiesz przecież, ciociu Marto, że ukończyłam kurs pierwszej pomocy w klinice zorganizowanej przez Stowarzyszenie Kobiet. Praca była tam wprost cudowna. Czułam się tak potrzebna! Skończyłam też kurs Czerwonego Krzyża. Wszyscy byli ze mnie bardzo zadowoleni, ciociu Marto.

Pani Hazlett nie odpowiedziała, ale Becky niemal odczytała z jej twarzy wszystkie myśli.

To prawda, że dziewczęta - nawet z najznakomitszych domów - kończyły różne szpitalne kursy, które wieńczyły ich wykształcenie. To było takie humanitarne. Także wiele starszych kobiet z wyższych sfer brało dyżury w szpitalach.

- No, może i masz rację - poddała się w końcu pani Hazlett. - Zadzwoń później do twojej matki, Alice.

Jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciwko temu.

Gdy dziewczęta wsiadały do samochodu, dostarczonego przed chwilą z warsztatu naprawczego, Alice wybuchła perlistym śmiechem.

- Twoi rodzice są tak samo łatwowierni, jak moi. Gdyby tylko wiedzieli, jak bardzo nienawidziłam tych szpitalnych kursów!

Samochód z dużą szybkością wziął pierwszy zakręt i Alice, szperając jedną ręką w kieszeni, przechyliła się gwałtownie w stronę kuzynki.

- Nie tak szybko, Becky. Muszę się zrobić na bóstwo, zanim pokażę się na oczy wszystkim twoim amantom.

Wyjęła lusterko i szminkę i starannie umalowała usta. Potem spojrzała krytycznie na swe odbicie.

- Nie, za mocno. To nie pasuje do mojego nowego image'u. Chcę przecież zrobić dobre wrażenie. - Papierową chusteczką starła nadmiar szminki. - Życie to poważna sprawa, droga Becky.

- Alice - w głosie Becky zabrzmiał ton niepokoju, choć starała się być stanowcza. - Jadę do pracy, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś liczyła na niezły ubaw. Paul i ja mamy pełne ręce roboty. Nawet nie wiem, czy będzie miał dziś czas porozmawiać z tobą.

Alice wtuliła się głębiej w siedzenie samochodu.

- Znajdzie czas - mruknęła z przekonaniem. - Już ja się o to postaram.

W chwilę potem dotarły na miejsce. Robin Houdachak czekał oparty o żelazną barierkę, oddzielającą dwa sąsiednie domy. Becky zatrzymała samochód przed wejściem do przychodni. Podbiegi natychmiast i stanął jak wryty na widok Alice. Potem otworzył drzwiczki, a Alice wyciągnęła ku niemu swą małą rączkę, aby pomógł jej przy wysiadaniu. Uśmiechnęła się i spuściła skromnie oczy, prezentując przy okazji w całej okazałości swe jedwabiste rzęsy.

- O Boże - niemal wyszeptała. - Moja kuzynka nie uprzedziła mnie, że będziemy tak powitane. Becky, czy możesz mnie poznać z tym uroczym, młodym człowiekiem?

"Chyba przeholowała" - pomyślała ze złością Becky. Ale nie pozostało jej nic innego, jak spełnić tę prośbę.

- Robin, to moja kuzynka, Alice Coatsworth.

- A więc to pan jest tym słynnym Robin Hoodem! Tyle o panu słyszałam! Robin zmieszał się bardzo.

- Miło mi - mruknął. - Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce.

Alice obdarzyła go kokieteryjnym uśmiechem.

- Już teraz czekam z niecierpliwością na tę chwilę. Weszły do korytarza.

Na twarzy Alice pojawił się złośliwy grymas.

- A teraz pora na kochanego wujcia doktora - wy-szczebiotała słodko.

W gabinecie Paul rozmawiał z jakimś mężczyzną, odwróconym plecami do drzwi. Gdy weszły do środka, obaj podnieśli się i Becky rozpoznała w nieznanym Steve'a Pryora.

Alice natychmiast zaczęła grać dobrze wychowaną młodą damę.

- Och, przepraszam. Czy nie przeszkadzamy?

- Ależ skąd! - Doktor przeniósł wzrok z Becky na Alice. - Rozmawiamy tylko.

Becky przedstawiła ich sobie. Paul przyniósł krzesło dla Alice.

- Nie chciałabym siadać - powiedziała z nieodpartym wdziękiem. - Nie chcę sprawiać kłopotu. Z pewnością żaden lekarz nie jest zadowolony, jeśli ktoś psuje mu ustalony porządek dnia. Ale zajmę panu tylko chwilę. Chciałabym pana o coś zapytać. Becky powiedziała, że to będzie możliwe.

Steve wpadł jej w słowo.

- Chyba już sobie pójdę.

- W żadnym wypadku! - zaprotestowała Alice. - Nie wybaczyłabym sobie, gdyby opuścił nas pan z mojego powodu. Proszę zostać! Właściwie przyszedłam tylko po to, żeby zapytać doktora Colemana, kto jest szefem personelu szpitalnego. Do kogo powinnam się zwrócić, jeśli chcę pracować jako wolontariuszka w klinice. Przez pewien okres będę mieszkać w tym mieście i pragnę spędzić ten czas w jakiś sensowny sposób. Bardzo chętnie pracowałabym społecznie.

Paul jakby nie zauważył, że Alice mogłaby dowiedzieć się o tym wszystkim od swej kuzynki. Becky po wiedziałaaby jej, kto prowadzi nabór ochotników do pracy społecznej w Palmer Memorial Hospital. Alice, ze swym promiennym uśmiechem i wytwornymi manierami, jakby go zaczarowała. Jeszcze nigdy Becky nie widziała go tak zmieszanym.

Zaczął nerwowo szukać po całym biurku notesu i długopisu. Becky przyszła mu z pomocą i z ciężkim sercem podała oba przedmioty. Zapisał nazwisko na kartce i podał ją Alice. Widać było przy tym wyraźnie, że chce jak najdłużej odwlec moment jej odejścia.

Alice jeszcze raz przeprosiła za zamieszanie, tym razem zwróciwszy wzrok w stronę Steve'a, który obserwował ją z kamiennym wyrazem twarzy.

- Nie ma za co - skwitował machnięciem ręki jej przeprosiny. - Mówiliśmy tylko o mojej kampanii wyborczej. Paul dał mi kilka dobrych rad.

Oczy Alice zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Ach, teraz sobie przypominam, pan kandyduje na urząd burmistrza. Czytałam o panu w gazetach i uważam, że to wspaniale. - Tym razem chyba nie udawała. Wyglądała na rzeczywiście zachwyconą. - Chciałam przez to powiedzieć, że z całego serca popieram pański program. Walczy pan o polepszenie warunków życia mieszkańców tego miasta. Panie Pryor, tak bardzo chciałabym panu pomóc.

Steve zmiękł. Zachęcony przez dziewczynę rozgadał się na swój ulubiony temat, czyli mówił o programie reform, który spowoduje całkowite wyburzenie slumsów i stworzy nowe, bardziej ludzkie warunki życia dla biednych.

- Pan potrzebuje pomocników - stwierdziła poważnym tonem. - Zajęcia w szpitalu na pewno nie pochłoną mi całego czasu. Być może przydam się panu na coś. Umiem pisać na maszynie, mogę chodzić od drzwi do drzwi i rozdawać ulotki, jeśli pan zechce. - Obdarzyła go szczerym spojrzeniem. - Ciotka Marta, to jest matka Becky, ma duży krąg znajomych. Jest członkinią wielu stowarzyszeń. Jeśli poprosi pan Becky, na pewno umożliwi panu wejście w te sfery. Może nawet urządzi kilka spotkań w klubach towarzyskich.

Spojrzenia obu mężczyzn spoczęły na Becky.

"Pewnie obwiniają mnie w duchu, że sama nie wystąpiłam z ofertą takiej pomocy - pomyślała. - Na ile szczerze jest moje poparcie dla Steve'a, skoro do tej pory ukrywałam, że mam takie możliwości".

- Becky może porozmawiać z matką - zaproponowała Alice. - Jeżeli odpowiednio naświetli całą sprawę, ciocia będzie szczęśliwa, mogąc przyczynić się do zwycięstwa słusznej sprawy. W końcu własna córka na pewno potrafi ją przekonać.

Becky nienawidziła przemocy, ale w tej chwili miała ochotę podnieść rękę i trzepnąć w tę niewinną, anielską twarzyczkę.

Alice, tak samo jak ona, wiedziała doskonale, że ani ojciec, ani matka nigdy nie mieszały się do polityki i w żadnym wypadku nie pozwolą na to, by ich nazwisko zostało publicznie złączone z jakimś kandydatem, niezależnie od tego, jakie stronnictwo byłoby reprezentowane.

Steve spojrzał na nią ostrym wzrokiem.

- Zapyta pani swoją matkę, Becky?

Nie miała innej możliwości i musiała odpowiedzieć:

- Nie wiem wprawdzie, czy ma to jakikolwiek sens, ale spróbuję.

Tylko poczucie rodzinnej lojalności powstrzymało Becky przed zdemaskowaniem Alice; gdyby nie to, wyjaśniłaby obu mężczyznom, kim naprawdę była jej kuzynka: małą diablicą, która potrafiła zrobić głupca z każdego, kto dał się jej omamić i uległ jej wdziękom.

Nikt, kto nie znał jej tak dobrze jak Becky, nigdy by w to nie uwierzył. Alice miała twarz niewinnego dziecka. Umiała bezlitośnie ranić słowami i sprawiać ból, ale potrafiła również znakomicie schlebiać i czarować.

Było jasne, że Paul dał się zwieść. Skonfundowany bełkotał coś o tym, że wreszcie spotkał młodą dziewczynę, która dostrzega istotne problemy życia i występuje zdecydowanie przeciwko niesprawiedliwościom tego świata.

Alice lekko dotknęła jego ramienia, a w jej rozmarzonym wzroku można było wyczytać obietnicę.

- Może zobaczymy się jeszcze w szpitalu. - I zwróciła się do Steve'a: - Proszę nie zapominać, że czekam na pański telefon. Bardzo chciałabym być w czymś pomocna.

"Jak głupi są mężczyźni - pomyślała z goryczą Becky, gdy obaj odprowadzali Alice do drzwi. - Nawet ci dwaj: inteligentny adwokat i niezły lekarz, którzy powinni przecież posiadać umiejętność właściwego oceniania ludzi; nawet oni dali się omamić dużym niebieskim oczom i omdlewającemu głosowi".

Gdy Steve wyszedł, Paul zwrócił się do Becky:

- Nigdy nie opowiadała pani o swej kuzynce. Czarująca dziewczyna. Czy długo zabawi u pani?

- Prawdopodobnie tak - odparła lakonicznie.

Nie odważyła się powiedzieć czegoś więcej. Musiała się bardzo pilnować, żeby nie zdradzić swych uczuć. Mężczyźni wyśmiewają kobiety, które zazdrość popycha do krytykowania innych kobiet

Czy była zatem zazdrosna? Wszystko na to wskazywało. Przez cały rok starała się daremnie zwrócić na siebie uwagę Paula. Alice udało się to w dziesięć minut.

\*\*\*

Dzień był jednym wielkim pasmem nieprzyjemności. Mali pacjenci sprawiali jej więcej kłopotów niż zazwyczaj. Niektórzy zaczęli płakać na sam widok lekarza, a gdy chciała ich rozebrać lub choćby przygotować do szczepienia, stawiali rozpaczliwy opór.

Kobiety rozwodziły się w nieskończoność o swoich dolegliwościach, co ogromnie wydłużało każdą wizytę, a poczekalnia wypełniała się coraz bardziej ludźmi.

Augusta Shelburne uszczęśliwiała ich długą i dokładną opowieścią o wycieczce do Londynu, którą odbyła razem ze swym "kochanym papą" oraz o słynnej wizycie na dworze królowej Marii. Becky i Paul słyszeli już tę historię wiele razy i nie wierzyli w ani jedno słowo. Ale pani Shelburne była sympatyczną staruszką, a przy tym znośła z godnością chorobę przysparzającą jej wiele cierpień.

Po południu przywieziono do przychodni chłopca ze złamaną ręką. W poczekalni, która wypełniła się jego krzykami, atmosfera stała się bardzo nerwowa, a matka chłopca omal nie dostała ataku hysterii.

Na domiar złego nieustannie dzwonił telefon, przerywając im pracę.

Jako ostatnia zadzwoniła Alice. Z dumą oznajmiła, że cały dzień spędziła w szpitalu.

- Poznałam szpital i nowe koleżanki - doniosła. Becky uśmiechnęła się smutno. Klinika Palmer Memorial nie była już tą, którą pamiętała.

Alice zaproponowała, że weźmie taksówkę do przychodni, a potem pojedzie razem z Becky do domu. Oczywiście prościej byłoby pojechać od razu do domu, ale jeżeli wróci razem z Becky, będzie to ukoronowaniem jej poczynań w tym dniu.

"Ma to pewnie wyglądać na mój pomysł" - pomyślała Becky z niechęcią.

Gdy po skończonym dyżurze wyszła na ulicę, Alice jeszcze nie było. Zdecydowała, że pojedzie do domu bez niej. Nie wątpiła ani przez chwilę, że kuzynka doskonale da sobie radę sama.

Ale gdy podeszła do samochodu, spostrzegła w niewyraźnym świetle późnego wrześnieowego popołudnia... Alice rozmawiającą z Robin Hoodem. Widząc zbliżającą się Becky, umilkli gwałtownie i wymienili szybkie spojrzenia. Becky usłyszała jeszcze tylko szept Alice.

- ... Dziś wieczorem... - Tyle zrozumiała, ale była tak zmęczona, że słowa te nie obudziły w niej żadnego zainteresowania. W tej chwili myślała tylko o swoich bolących stopach i marzyła o gorącym prysznicu i o śnie.

Przy kolacji siedziała półprzytomna ze zmęczenia. Ożywiła się dopiero po słowach matki:

- Rebeko, chciałabym - nie muszę chyba specjalnie tego podkreślać - by Alice spędzała u nas czas jak najprzyjemniej. Dziś wieczorem odbywa się spotkanie towarzyskie dla młodych ludzi w Country Club. To ostatnia impreza tego typu w tym sezonie i musisz koniecznie tam być. W przyszłym tygodniu zaczyna się nowy semestr i dla studentów jest to rodzaj prywatki pożegnalnej. Będziecie się z pewnością cudownie bawić.

Czuła się zbyt zmęczona, żeby móc choćby myśleć o tańcach. Poza tym już od dawna trzymała się z daleka od życia towarzyskiego klubu. Czuła się jakoś znacznie starsza i bardziej dojrzała od swych rówieśników, którzy często jeszcze studiowali lub chodzili do szkoły. A przede wszystkim nie miała z nimi o czym rozmawiać.

Alice uchroniła ją przed dyskusją z matką.

- Proszę, nie dzisiaj, ciociu Marto! To był taki długi, męczący dzień. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym dziś wcześniej iść do łóżka i porządnie się wyspać.

Pani Hazlett oczywiście nie miała nic przeciwko temu. Współczującym głosem orzekła, że rozumie Alice. Oczywiście, jeśli jest za bardzo zmęczona, mogłaby tylko udawać, że dobrze się bawi, a to przecież nie miałyby sensu.

Becky odetchnęła z ulgą.

Choć początkowo pracowała w przychodni tylko przez pięć dni w tygodniu, z czasem przyzwyczała się w sobotnie przedpołudnia załatwiać wszystkie sprawy biurowe. Obfity w wydarzenia piątek nie zostawił jej czasu na papierkową robotę. Miała nadzieję, że jutro z rana uda się jej odrobić wszystkie zaległości.

Wzięła prysznic, wróciła do pokoju i zobaczyła kuzynkę siedzącą przy toalecie. Gdy się odwróciła, Becky cofnęła się zdumiona. Alice była bliźniaczo podobna do niej.

- Co zrobiłaś z włosami? - zapytała.

- To przecież peruka! - roześmiała się Alice i zerwała perukę z głowy. - Mam jeszcze dwie albo trzy inne. To wspaniała zabawa. Lubię od czasu do czasu wyglądać inaczej.

Wstała i wymachując peruką, otworzyła jedną z szaf.

- O Boże, ile ty masz ciuchów! - zawołała i zaczęła z zapalem szperać wśród sukienek, płaszczy i garsonek. - Wujek Larry jest chyba hojnym tatusiem. Czy mogłabyś mi pożyczyć kilka rzeczy? Na przykład to? - wyciągnęła czerwony elegancki płaszcz. - Czy mogę go przymierzyć?

Nie czekając na odpowiedź, założyła go i z wyrazem zachwyty na twarzy okręciła się przed lustrem.

- Możesz go zatrzymać - odparła Becky obojętnie. Ten płaszcz nigdy specjalnie jej się nie podobał. Nie

wiedziała, dlaczego go kupiła. Właściwie doradziła go jej matka. Kolor był zbyt jaskrawy, krzykliwy i czuła się w nim nieswojo.

- Naprawdę mogę go zatrzymać? Jesteś prawdziwym skarbem.

Alice wypadła z pokoju, jakby bała się, że Becky się rozmyśli. W drzwiach odwróciła się jeszcze i dodała z chytrym uśmieszkiem:

- Teraz wiem przynajmniej, co założyć, gdy znudzą mi się moje ciuchy.

Becky nic nie odpowiedziała i poszła prosto do łóżka. Zasnęła natychmiast, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

W nocy coś ją obudziło. Jakiś samochód zatrzymał się przed domem, a w chwilę potem dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi wejściowych. Pomyślała w półśnie, że to pewnie matka wróciła z imprezy w klubie.

Po dwóch dniach dowiedziała się, jak bardzo się myliła.

RS



## ROZDZIAŁ V

W dzielnicy, gdzie mieszkali Hazlettowie, niedzielne przedpołudnia przepojone były zawsze atmosferą dostojnego spokoju. Wśród pustych ulic i pamiętających dawne dobre czasy willi panowała niczym niezmacona cisza, przerywana z rzadka biciem kościelnych dzwonów.

Ale tej niedzieli w salonie państwa Hazlettów wcale nie było spokojnie. Gdy Becky zeszła na dół na śniadanie, w jadalni nikogo nie było. Ruszyła w stronę, z której dobiegały głosy rodziców i znalazła ich po chwili w salonie. Oboje wyglądali na zdenerwowanych, a nawet zaszokowanych. Kłócili się zawzięcie. Becky z przerażeniem patrzyła na ich wykrzywione gniewem twarze.

Gdy dowiedziała się, o co poszło, była jeszcze bardziej zaszokowana niż oni.

- Czegóż więc oczekiwałaś - pytał Lawrence Hazlett - gdy pozwoliłaś jej na pracę w najpodlejszej dzielnicy miasta?

- A więc to niby ja pozwoliłam jej na to! Znów tylko ja jestem winna! Uważasz, że mogłabym ją przed tym powstrzymać?

Odpowiedział uszczypliwie.

- Nigdy nie mieszałem się w wasze sprawy. Pozwoliłem ci wychowywać Rebekę zgodnie z twoimi przekonaniem. Być może popełniłem błąd, ufając w twą matczyną mądrość. Miałaś dwadzieścia jeden lat na to, żeby zrobić z niej damę i wpoić jej zasady godne rodziny Hazlettów. A tu nagle coś takiego! - z pogardą kopnął rozrzucone na podłodze luźne stronice jakiejś gazety. - Ale teraz ja wezmę sprawę w swoje ręce. I coś tu się zmieni. Po pierwsze: ona rzuci tę pracę, bo tam tkwią korzenie całego zła; stąd się biorą te jej podejrzane znajomości. A jeśli nie zastosuje się do mego polecenia, podejmę radykalniejsze środki, Marto. Becky weszła do środka salonu.

- Co to ma znaczyć, tato?

Głowy obojga rodziców odwróciły się w jej stronę, przez krótką chwilę przyglądali się jej w milczeniu. Potem pani Hazlett wyrzuciła z siebie:

- Och, Rebeko, coś ty narobiła! - pochyliła się i podniosła z podłogi najnowszy numer "Echa".

Becky zastanowiła się, w jaki sposób ta gazeta znalazła się pod ich dachem. Skoro nawet codzienne wydanie budziło niesmak jej rodziców, tym bardziej nie znosili chyba edycji sobotnio-niedzielnych, w których aż roiło się od niedyskretnych szczegółów z życia znanych osób.

Jedna z rubryk "Echa" nosiła tytuł "Przez dziurkę od klucza". W każdą sobotę prezentowano tu szerokiej publiczności skandaliczne historyjki, w których można było znaleźć mnóstwo zaskakujących obserwacji, zgrabnych aluzji i delikatnie sformułowanych oskarżeń, często graniczących z oszczerstwem.

- Właśnie zadzwoniła do mnie przyjaciółka i ojciec posłał po gazetę.

Marta Hazlett uniosła pismo samymi czubkami palców, jakby trzymała w ręku coś obrzydliwego i wskazała na rubrykę "Przez dziurkę od klucza". Becky spostrzegła swoje nazwisko. Rzuciło się wyraźnie w oczy, gdyż było wydrukowane tłustą czcionką.

Przeczytała: "W piątkowy wieczór mieliśmy okazję podziwiać córkę pary znanych i szanowanych powszechnie obywateli naszego miasta w trzeciorzędym lokalu. Spędzała tam czas w towarzystwie znanego powszechnie recydywisty. Becky Hazlett, która - jak wiadomo - nie bierze od pewnego czasu udziału w życiu towarzyskim wyższych sfer, ponieważ pracuje jako pielęgniarka, najwyraźniej bawiła się wspaniale ze swym partnerem. Robin Houdachak jest chyba najbarwniejszą postacią Małego Chicago. Becky wyglądała zachwycająco w czerwonym płaszczu i ciasno przylegającej do ciała sukience. Redakcja 'Dziurki od klucza' jest trochę zdziwiona, gdyż zaledwie kilka dni temu ciesząca się dotąd nienaganną opinią piękna Becky energicznie poparła Steve'a Pryora, naszego dzielnego rycerza bez skazy, który za główny cel wyznaczył sobie moralne odrodzenie miasta".

Po przeczytaniu notatki jeszcze przez długą chwilę stała z gazetą w ręku. Czowała na sobie wzrok rodziców.

To oczywiście Alice była tą osobą, która tak świetnie bawiła się wczoraj z Robinem! W peruce wyglądała prawie identycznie jak ona, nic dziwnego, że je pomyłono.

Pani Hazlett natychmiast rozpoznała w tym opisie czerwony płaszcz, którego kupno doradziła córce.

Ciszę przerwał czyjś wesoły głos:

- Co robicie w salonie? Już się martwiłam, że spóźniłam się na śniadanie, bo nikogo nie zastałam przy stole. - Alice zamilkła i zlustrowała ich wzrokiem. - Czy coś się stało?

Becky odwróciła się i już otwierała usta, żeby powiedzieć, ale... Już chciała zażądać wyjaśnień i zmusić Alice do wyjawienia prawdy. Ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Nigdy jeszcze nie "wydała" swojej kuzynki, nawet gdy ta rozpowiadała o niej niestworzone historie. Była na tyle dumna, że wołała ponieść karę niż narzucić na Alice.

Poza tym nie była pewna, czy rodzice daliby wiarę jej słowom. Wystarczyło spojrzeć na niewinną twarzyczkę Alice, żeby nabrać co do tego poważnych wątpliwości. Zresztą ona wymyśliłaby nowe kłamstwa, protestowałyby, urażonym tonem by oświadczyła, że Becky oskarża ją zupełnie bezpodstawnie, bo chce uniknąć konsekwencji swych czynów.

- Zostaw nas na chwilę samych, droga Alice - poprosiła pani Hazlett. - Chcieliśmy oszczędzić ci nieprzyjemnej rozmowy. Jennie przyniesie ci śniadanie do pokoju. Dziś zrobimy wyjątek.

Po wyjściu Alice Lawrence Hazlett odezwał się spokojnie do córki:

- Jutro z samego rana zrezygnujesz oficjalnie z pracy w przychodni. Nie musisz wcale tam jechać. Wystarczy, że zadzwonisz do lekarza i powiesz mu, że nigdy więcej już nie przyjedziesz.

- Tato, nie mogę tego zrobić! Zignorował jej zrozpaczone spojrzenie.

- Ostrzegam cię, Rebeko. Powiedziałem ci, że będziesz musiała porzucić tę pracę, jeśli cokolwiek, co zdarzy się w związku z nią, rzuci jakiś cień na dobre imię naszej rodziny. Nie będę dłużej tolerował niedyskrecji w tym stylu. Powtarzam, jutro rano zrezygnujesz z pracy, a ty Marto - zwrócił się do żony - dopilnujesz, żeby moje polecenie zostało wykonane. Wciąż jeszcze jestem panem w tym domu, nawet jeśli w ostatnim czasie nie poświęcałem mu dostatecznie wiele uwagi. Kto mieszka pod moim dachem, musi dostosować się do moich życzeń.

Opuścił pokój z wyrazem urażonej dumy.

- Teraz będziesz musiała zrobić to, co kazał ci ojciec - potwierdziła surowo matka. - Nie chcę mieć z nim konfliktów z twojego powodu, Rebeko. Nasze małżeństwo zawsze układało się szczęśliwie i harmonijnie. Nie chciałabym, żeby coś się popsuło między nami. A teraz idź do swojego pokoju.

Becky ucieszyła się, że może zostać sama. Zamknęła za sobą drzwi, podeszła do okna i przycisnęła rozpalone czoło do chłodnej szyby. Najróżniejsze myśli kłębiły się w jej skołatanej głowie.

Nigdy jeszcze otwarcie nie zbuntowała się przeciwko rodzicom. Ale nie mogła zrezygnować z pracy. To przynajmniej było dla niej oczywiste. Próbowwała spojrzeć obiektywnie na to, co robiła w Małym Chicago.

Nie była to tylko miłość do Paula, było to coś więcej. On jej potrzebował i nie miał nikogo innego do pomocy, I choć nie zastępowało to miłości, stanowiło istotną część jej życia.

Pomyślała o poczekalni pełnej pacjentów, przypomniała sobie tamten okropny tydzień, gdy w Małym Chicago szalała epidemia. Jak dałby sobie radę bez niej w ciągu tych dziesięciu długich dni?

Co zrobiłby, gdyby odeszła? Nie znajdzie wykwalifikowanej pielęgniarki, która zgodzi się pracować za tak małą pensję.

Nie opuści go. Im dłużej myślała o tym wszystkim, tym pewniejsza była swej decyzji.

Ale jeśli nie ulegnie, sprawi rodzicom spore kłopoty. Byli szczęśliwą parą. Jak to ojciec powiedział? "Kto mieszka pod moim dachem, musi zastosować się do moich życzeń".

Wniosek był prosty: musiała wybierać - albo dom rodziców, albo praca z Paulem. A więc trzeba się będzie wyprowadzić, znaleźć jakieś nowe miejsce dla siebie.

Becky wiedziała, że zrobi tylko to, co sama uzna za słuszne.

Nie, nie mogła tu dłużej zostać. W końcu miała dwadzieścia jeden lat. Powinna już dawno stanąć na własnych nogach. Jej decyzja oczywiście bardzo zaskoczy rodziców. Początkowo będą boleśnie to odczuwać, ale przecież gdy w okresie nauki w szkole dla pielęgniarek musiała mieszkać w przyklinicznym internacie, znosili to bez trudu. Najgorszy będzie pierwszy moment, potem jakoś pogodzą się z sytuacją.

"A więc od czego zacząć?" - zastanawiała się Becky. Z samej pensji nie mogła przecież żyć. Miała na swym koncie pewną sumę w spadku po babce. Początkowo zatem nie będzie musiała ograniczać swoich wydatków. Powinna przestać martwić się o przyszłość, nauczyć się żyć z dnia na dzień.

Podeszła do szafy i wyjęła z niej dwie duże walizki. Zaczęła wybierać i pakować najpotrzebniejsze rzeczy.

Gdy spakowane walizki stały już przy drzwiach, usiadła i napisała list do rodziców. Przeprosiła ich w nim za wszystkie kłopoty i przykrości, które ich przez nią spotkały. Potem w kilku słowach wyjaśniła, że nie czuje się już dzieckiem i uważa, że ma prawo o sobie decydować. Nie zamierza rezygnować z pracy i liczy na to, że rodzice zrozumieją w końcu tę decyzję.

Na koniec zapewniła jeszcze, że kocha ich bardzo i zawsze będzie ich kochała, bez względu na to, co się wydarzy i jak potoczą się jej losy.

Zakleiła kopertę i położyła ją na biurku. Trzymając płaszcz pod pachą, po raz ostami rozejrzała się po swoim pokoju.

Nigdy przedtem nie wydawał jej się tak przytulny i ciepły, jak teraz. Wszystko było tu takie ładne: lekkie mebelki, zwiewne zasłony nad dużymi oknami, akwarele na ścianie. Jednego była pewna: żadnego pokoju nie będzie już tak lubić.

Na specjalnej korkowej ścianie wisały przypięte zdjęcia z czasów, gdy była w szkole pielęgniarskiej. Każde z nich wyzwalало szereg wspomnień. Spojrzała na jasnoblękitny telefon stojący na stoliku nocnym i na regał z setkami książek.

Wiedziała, co zostawia za sobą, nie miała natomiast żadnego pojęcia o tym, co czekają w przyszłości.

\*\*\*

Nie było pożegnania. Drzwi do holu były zamknięte. Słyszała za nimi głosy rodziców.

Zbiegła po schodach i wyszła na spotkanie rześkiego słonecznego dnia. Na razie chciała zatrzymać jeszcze samochód. Później, gdy już nie będzie miała pieniędzy na jego utrzymanie, zwróci go ojcu.

Uprzytomniła sobie, że będzie musiała znaleźć mieszkanie gdzieś w pobliżu przychodni. Pojechała więc do dzielnicy graniczącej z Małym Chicago.

Architektura okolicznych budynków świadczyła o ich podeszłym wieku. Ale mimo iż były stare i nienowoczesne, nie wyglądały bynajmniej na zaniedbane. Wypielegnowane trawniki i starannie przystrzyżone żywopłoty sprawiały przyjemne wrażenie.

Becky nie zamierzała szukać miejsca w zwykłym pensjonacie. Dlatego też, gdy zobaczyła w jakimś oknie szyldzik "pokój do wynajęcia", zatrzymała samochód.

Staroświecki dzwonek odezwał się przeciągle gdzieś we wnętrzu domu. Drzwi otworzyła kobieta wyglądająca na jakieś czterdzieści lat. W jej włosach można było dostrzec wiele srebrnych nitek, a na delikatnej twarzy bruzdy wokół ust i na czole.

Becky powiedziała:

- Przychodzę w sprawie pokoju.

Drzwi uchyliły się szerzej i Becky weszła do dużego przedpokoju. Dywan na podłodze był wytarty, a tapety lekko wyblakłe. Ale wszędzie aż lśniło od czystości, a w powietrzu nie wyczuwała nawet śladów owego charakterystycznego, nieprzyjemnego odoru, będącego mieszaniną zapachu

smażonego tłuszczu, pasty do czyszczenia mebli i mydła - woni tak często spotykanej w ubogich domach.

Pani Forrester, tak nazywała się kobieta, wyjaśniła, że dopiero od niedawna wynajmuje pokoje.

- Odkąd umarł mąż, muszę korzystać z tego dodatkowego źródła dochodu. Trzeba wychować dwoje dzieci - westchnęła. - Mam dwa pokoje do wyboru. Może je pani obejrzeć.

Weszły po schodach na górę. Pierwszy pokój, który pokazała jej pani Ferrester, był większy od własnego pokoju Becky na Larchmere Street. Cztery okna wychodziły na ogród i ulicę za nim.

"W zimie na pewno jest tu zimno" - pomyślała Becky. Woląла mniejszy, który nadawał się wręcz idealnie dla samotnej dziewczyny. Był całkowicie umeblowany, ale nie sprawiał wrażenia zagraconego.

- Czy mogę wprowadzić się od zaraz? - zapytała. - Czy wolałaby pani zebrać o mnie trochę informacji?

Pani Forrester miała ciemne, spokojne oczy, którym na pewno niewiele umykało.

- Myślę, że znam się trochę na ludziach, panno... Hazlett, czy tak? Zawsze zdaję się na swój instykt, a pani od razu mi się spodobała. Nie powiedziała mi pani jeszcze, gdzie pani pracuje.

Becky powiedziała pani Forrester o swojej pracy u doktora Colemana.

- A więc jest pani pielęgniarką - powiedziała kobieta. - Jeszcze nigdy nie słyszałam o pielęgniarce, która sprawiłaby kłopot swojej gospodyni. - Rzuciła Becky przyjazne spojrzenie. - Czy będzie pani jadła śniadanie razem z nami, panno Hazlett? I tak codziennie przygotowuję posiłek dla Billy'ego, Carol i Gramy, więc może pani przyłączyć się do nas. Jadamy zawsze solidne śniadania, a oprócz tego mogę robić kanapki do pracy. To nie będzie dużo kosztowało.

Becky z wdzięcznością przyjęła propozycję. O posiłkach jeszcze nawet nie pomyślała. Ta oferta wydawała się idealnym rozwiązaniem.

Resztę dnia spędziła na urządzaniu się w swoim pokoju. Późnym popołudniem pani Forrester zapukała do drzwi i zapytała, czy Becky zje z nimi kolację.

- Jako gość - uśmiechnęła się serdecznie. - Pomyślałam sobie, że szybciej zaaklimatyzuje się pani u nas, jeśli pozna pani wszystkich.

Rodzina Forresterów składała się z czterech osób: pani domu, dwojga dzieci i teściowej. Becky od pierwszej chwili poczuła sympatię do ślicznej

Carol, siedemnastoletniej dziewczyny, i jej młodszego o dwa lata brata. Starsza pani była z kolei osobą kruchą, ale energiczną i inteligentną.

Nikt nie zadawał Becky niedyskretnych pytań, a rozmowa dotyczyła głównie spraw ogólnych. Wielu ludzi uważa, że największą przyjemność sprawiają pielęgniarki, rozmawiając z nią o swych dolegliwościach, tu jednak nikt nawet o tym nie wspomniał.

Dopiero po kolacji Carol, idąc z Becky na górę, zahaczyła o ten temat.

- Chciałabym też zostać pielęgniarką. W przyszłym roku kończę szkołę. Czy będę mogła kiedyś porozmawiać o tym z panią?

Becky oczywiście odpowiedziała twierdząco. Z ochotą porozmawiałaby z nią nawet teraz, ale matka zawołała, że w kuchni czekają naczynia do mycia i dziewczyna zbiegła szybko po schodach.

Samodzielne życie z dala od domu nie było wcale łatwe. W domu Forresterów potraktowano Becky gościnnie i serdecznie. Miała szczęście, że już za pierwszym razem tak dobrze trafiła.

Nawet jej sublokatorski pokój był znacznie przyjemniejszy niż się tego spodziewała. Na stoliku nocnym stało radio, a obok leżało kilka książek. Ponadto Mary Forrester zaproponowała Becky korzystanie z niewielkiej biblioteczki, znajdującej się w salonie. Mogła korzystać z telewizora, gdyby przyszła jej ochota.

Becky wzięła do ręki jedną z książek, ale zasnęła, nie przeczytawszy nawet dziesięciu stron.

Obudziła się z uczuciem obcości. Minęła długa chwila, zanim zorientowała się, gdzie się właściwie znajduje.

Niebo za oknem było szare i ciężkie od chmur. Ogarnęło ją przygnębienie. Znikły gdzieś wczorajsze uczucia zadowolenia i wdzięczności. Pomyślała o rodzinnym domu na Larchmere Street i poczuła się jak bezdomny, zagubiony pies.

\*\*\*

Dom Forresterów był oddalony od Folger Street mniej więcej o milę. Mimo iż w powietrzu czuło się zbliżający deszcz, Becky zdecydowała się pójść pieszo do pracy. Samochód stał w dużym garażu za domem, ale musiała uczyć się radzić sobie bez niego.

W przychodni zjawiała się piętnaście minut wcześniej niż zwykle. Paul był już na miejscu. Miał starannie wygoloną twarz i gładko przyczesane włosy, ale wyglądał tak, jakby niewiele spał tej nocy.

Powiedział, że do drugiej w nocy odwiedzał chorych. Sabina Houdachak zapadła na śpiączkę cukrzycową, więc natychmiast zawiózł ją do szpitala. Potem został przy niej, dopóki poziom cukru we krwi nie powrócił do normy.

- Zawsze istnieje duże zagrożenie życia, jeżeli chory na cukrzycę ma jednocześnie słabe serce, tak jak pani Houdachak. Pani przyjaciel przysparza mi dodatkowych kłopotów. Zachowuje się jak wariat i grozi mi Bóg wie czym. Jest roztrzęsiony jak baba. - Nagle przerwał w środku zdania i przyjrzał się uważnie Becky. - Ale co się z panią dzieje? - zapytał w końcu.

Nie udawała nawet, że nie rozumie pytania. Widziała przecież swoje odbicie w lustrze. Oczy były powleczone mgiełką smutku, a skóra miała nienaturalny blady odcień.

- Czy pokłóciła się pani z przyjacielem? Jak mało ją znał!

Od roku już pracowali razem, a on wciąż nie wiedział zupełnie nic, jak Becky spędza wolny czas i jakim torem biegło jej prywatne życie. Na myśl o tym i przypomniawszy sobie jeszcze wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, załapała się nagle łzami. Czuła, jak wilgotnieją jej policzki. Zamiast Paula widziała już tylko białą, niewyraźną plamę.

Podszedł do niej i w chwilę potem przycisnął do piersi, a jej mokre od łez policzki przywarły do białego lekarskiego fartucha.

Jego uścisk był łagodny i silny jednocześnie. Wymruczał kilka słów pocieszenia, głaszcząc ją delikatnie po głowie. Mówił do niej jak do nieszczęśliwego dziecka. Wiedziała, że współczuje jej gorąco i szczerze.

Wyjął chusteczkę, osuszył jej łzy. Potem pochylił się lekko i złożył delikatny pocałunek na jej ustach.

To był przelotny pocałunek, gest, którym chciał ją pocieszyć. Doskonale wiedziała, że nie kryło się za nim nic więcej. Zapragnęła raptem wtulić się w jego ramiona i usłyszeć z jego ust słowa miłości. Wciąż jeszcze czekała na cud, na to, że przestanie być wobec niej obojętny i zobaczy w niej atrakcyjną kobietę.

Ale nic takiego się nie stało. To, co czuł do niej, było jedynie współczuciem. Była dla niego tylko jedną z setek nieszczęśliwych istot, które przychodziły doń po pomoc i wsparcie.

- Nie chce pani opowiedzieć o swoich kłopotach? - zapytał.

Niewiele mogła mu wyjaśnić. Gdyby powiedziała całą prawdę, postawiłaby Alice w złym świetle. Cała ta opowieść o peruce i czerwonym płaszczu brzmiałaby zresztą niewiarygodnie. Potrząsnęła więc tylko w milczeniu głową.



- Czy chodzi o ten wczorajszy artykuł w gazecie? Spuściła wzrok, czując, jak płoną jej policzki.

- Czytał pan?

- Nie, szkoda czasu na czytanie takich brukowców. Wiem o tym od pani kuzynki. Zadzwoiła do mnie wczoraj wieczorem i chciała mnie zaprosić do pani domu na kolację, we środę. Opowiedziała mi o tym, jak bardzo zdenerwowali się całą sprawą rodzice i o tym, że wyprowadziła się pani z domu.

A więc to nie był przypadek. Alice nie marnowała czasu i zdążyła donieść Paulowi o najnowszych wydarzeniach. Zaprosiła go nawet do domu na kolację, podczas gdy ona sama, znając Paula już cały rok, dotąd nie odważyła się na podobny gest

Wciąż przyglądał się jej badawczo.

- Zdaje mi się, że kryje się za tym coś więcej. Wiem, że Robin panią adoruje, ale jakoś nie mogę sobie pani wyobrazić w trzeciorzędym lokalu, siostrze Becky. Ale to oczywiście pani sprawa i ma pani prawo nie mówić o tym. Jest mi mimo wszystko przykro, że poróżniła się pani z rodzicami. Właściwie powinienem dać pani dzisiaj wolne, ale moim zdaniem najlepszym lekarstwem na zmartwienia jest praca. A tej mamy dzięki Bogu pod dostatkiem. - Wrócił do swojego biurka i przesunął w jej stronę leżącą na blacie stertę papierów. - Może pani zacząć od tego. Jeżeli będzie mnie pani potrzebować, jestem w szpitalu.

Jeszcze długo po jego wyjściu Becky czuła na ustach dotyk jego warg. Jeden przelotny pocałunek to niewiele, ale nie miała niczego innego, co dawałoby jej choć cień nadziei. Ani teraz, ani przez wiele następnych dni.

\*\*\*

Wczesno-jesienne dni ciągnęły się monotonicznie jeden za drugim, podobne do siebie jak krople wody. Becky wypełniała je pracą. Wieczory spędzała samotnie w swym sublokatorskim pokoju.

Z czasem bliżej poznała całą rodzinę. Stara pani Forrester była bardzo zadowolona z towarzystwa Becky, gdyż jej synowa, zajęta nie kończącymi się obowiązkami domowymi, nigdy nie miała dla niej czasu. Carol była dla Becky uosobieniem pogody ducha. Jej krótkotrwałe romanse, eksperymenty z nowymi fryzurami, wielogodzinne rozmowy telefoniczne z przyjaciółkami od serca przypominały dziewczynie jej własne dorastanie.

Pewnego wieczora Carol wyznała:

- Naprawdę bardzo chcę zostać pielęgniarką. Czy to prawda, że lekarze często żenią się z pielęgniarkami?

Becky odpowiedziała:

- W Palmer Memorial Hospital odbywa praktykę ponad sto uczennic i dwa razy tyle wykwalifikowanych pielęgniarek oraz ochotniczek. Natomiast lekarzy jest około dwudziestu pięciu, do tego jeszcze kilku asystentów. Jeśli więc chcesz zostać pielęgniarką tylko po to, żeby poślubić jakiegoś lekarza, to lepiej od razu daj sobie spokój. Nie dlatego wybiera się ten zawód...

- A dlaczego?

Niewiele brakowało, a powiedziałyby kilka banalnych okrągłych zdań o sensie życia. Ale nie zrobiła tego, lecz zastanowiła się przez chwilę. Dlaczego i właściwie ona sama wybrała zawód pielęgniarki? Czy dlatego, że istotnie pragnęła zrobić coś pożytecznego dla ludzi? Czy może po prostu nie chciała podporządkować" się stylowi życia, jaki usiłowała narzucić jej matka?

- Ja zdecydowałam się na to po części z ciekawości - powiedziała szczerze.

- Chciałam się przekonać, czy podołam tak trudnej pracy. Jasne, jednym z powodów była też chęć, aby nadać jakiś sens swemu życiu. Widzisz, Carol, być pielęgniarką to nie znaczy paradować w białym fartuchu po korytarzu czy kręcić się w czasie obchodu w pobliżu ordynatora. To coś zupełnie innego.

Powiedziała jej o swych przeżyciach w szkole pielęgniarskiej. O pierwszym rozczarowaniu, gdy okazało się, że nie potrafi w pełni sprostać stawianym jej wymaganiom. O tym, że zupełnie inaczej wyobrażała sobie to wszystko; nie przypuszczała, że będzie jej tak trudno. O surowych siostrach oddziałowych i chwilach, gdy była tak zmęczona, że nie mogła utrzymać się na nogach. I o ogromnej radości, jaką odczuła po zdaniu egzaminu. O dziwnym wzniosłym uczuciu, którego się doznaje, gdy jest się za coś odpowiedzialnym, a którego doświadczyła po raz pierwszy właśnie jako pielęgniarka.

Ale po co był jej ten egzamin? Po to, by znaleźć miejsce w życiu Paula Colemana. Oczywiście, nie wspomniała Carol ani słowa o swej miłości. Ale zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia i przez długi czas nie mogła odzyskać spokoju.

Tak, będąc pielęgniarką pomogła wielu ludziom, nieraz zaoszczędziła chorym cierpienia. Ale pacjenci, którymi się zajmowała, zawsze stali na drugim miejscu, po Paulu. Gdy teraz o tym myślała, słyszała gdzieś\* w sobie wciąż powracające jedno słowo: egoizm.

Tak, gdy wybuchła epidemia, Becky pomyślnie przeszła próbę, jakiej została poddana przez los. Ale to, czego dokonała, zostało niejako

wymuszone. Towarzyszyła Paulowi, bo on tego sobie życzył. Źródłem wszystkich jej poczynań była chęć, aby mu się podobać, a nie spontaniczne pragnienie niesienia pomocy innym ludziom.

Rozmowa z Carol ułatwiła Becky usystematyzowanie swoich myśli; z chaosu wyłoniły się pierwsze zarysy porządku. Poczula się teraz tak, jakby ktoś zerwał jej z oczu zasłonę. Nagle, z przerażającą jasnością zauważyła, jak fałszywy był jej system wartości, jak olbrzymi jej egoizm.

W duszy Becky dokonana się istotna zmiana, oczywiście nie w ciągu jednej nocy i nie bez wewnętrznej walki. Podczas długich samotnych godzin dokonywała gruntownej analizy swego postępowania i swoich poglądów.

Pomału zaczęła dostrzegać mijających ją na ulicy ludzi. Z czasem nauczyła się rozpoznawać niektórych spośród nich. Mijając ich codziennie na swej trasie do przychodni i z powrotem, uśmiechała się do nich, a oni odwzajemniali uśmiech. Nabrała też wyrozumiałości w stosunku do niecierpliwych pacjentów, którzy nie mogli doczekać się swojej kolejki. I nauczyła się współczuć tym, którzy płakali ze strachu, bólu lub rozpacz.

Wewnętrzna przemiana odbiła się na jej twarzy -nabrała ona delikatniejszego i bardziej miękkiego wyrazu. Choć Paul zdawał się tego nie dostrzegać, znalazł się ktoś, kto zwrócił na to uwagę.

Pewnego dnia Steve Pryor, zjawiwszy się z wizytą w przychodni, powiedział do Becky:

- Mój Boże, Becky, nie wygląda już pani tak nieprzystępnie jak kiedyś. Człowiek już nie drży ze strachu, chcąc zaprosić panią na randkę. Czy znajdzie pani dla mnie trochę czasu? Mogę zaprosić panią jutro do jakiejś kawiarni?

"Dlaczego nie?" - pomyślała Becky. Czy jeśli nie może zdobyć mężczyzny, którego kochała, ma spędzić z tego powodu resztę życia w samotności? Skinęła głową i odpowiedziała:

- Z przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie.

## ROZDZIAŁ VI

Steve zabrał ją do szacownej, spokojnej restauracji, położonej poza miastem. Jedzenie było wyborne, a obsługa uprzedzająco grzeczna.

Jeszcze kilka tygodni temu w ogóle nie zwróciłaby na takie szczegóły uwagi. Hazlettowie zatrudniali dobrą kucharkę, a jeśli jadali gdzieś na mieście, to zawsze w pierwszorzędnym lokalach.

Odkąd jednak mieszkała poza domem, stołowała się w barach szybkiej obsługi. Odżywiała się bardzo przeciętnie, pamiętając o tym, że obecnie musi żyć oszczędnie. Na obiad jadała najczęściej kanapki i po pewnym czasie te monotonne posiłki zaczęły w niej budzić szczerą niechęć.

Po ostatnim daniu uśmiechnęła się do Steve'a.

- Dawno nie jadłam czegoś tak smacznego! Zapytał od niechcienia:

- Jak słyszałem, nie mieszka już pani u rodziców? Nie pytała, skąd o tym wiedział. Oczywiście od

Alice! Od pamiętnej niedzieli kuzynka nie dawała znaku życia. Becky tylko raz rozmawiała z matką przez telefon. Obie były dla siebie uprzejme, ale chłodne. Przez wiele dni po tej rozmowie Becky nie mogła odzyskać równowagi.

Becky przypuszczała, że Alice zajęła teraz jej miejsce w domu rodziców i cieszyła się rodzinnym ciepłem, świętoszkowatą uległością wyprowadzając w pole wuja i ciotkę.

Steve odezwał się:

- Wiem, że musi się pan uporać z własnymi problemami. Pani kuzynka błysnęła mimo wszystko wielką klasą. Zainicjowała ruch obywatelski. Pani matka wzięła nawet udział w spotkaniu przedwyborczym.

Becky wyczuła w jego głosie nie wypowiedziany wyrzut. To ona obiecała Steve'owi wsparcie. Ale doskonale wyobraziła sobie, jaka byłaby reakcja rodziców, gdyby tylko odważyła się założyć ruch popierający Steve'a.

Alice prezentowała się teraz wszem i wobec w jak najlepszym świetle. Widywano ją na różnych imprezach przedwyborczych, wykładach, nawet w telewizji; cieszyła się ogólnym zainteresowaniem, wielokrotnie występując u boku Pryora.

- W dalszym ciągu jestem pańską zwolenniczką - zapewniła Becky bezbarwnym głosem. - Chciałabym jakoś panu pomóc, ale tak późno wracam do domu...

Przerwała. Chciała jeszcze dodać, że Alice może poświęcić kampanii wyborczej o wiele więcej czasu niż ona, gdyż pracuje codziennie znacznie krócej. Ale mogło to być odebrane jako uszczypliwość pod adresem kuzynki, a Becky nauczyła się ostatnio trzymać język za zębami.

Alice taka już była i nigdy się nie zmieni. Becky czasem jej nawet współczuła, widząc, jak Alice uporczywie stara się zwrócić na siebie uwagę otoczenia, jak wiecznie szuka akceptacji u innych.

- Ale przyjdzie pani na mój wykład w college'u? - zapytał Steve. - Wygłoszę go za tydzień. Musi pani znaleźć dla mnie trochę czasu. Becky, jak spędza pani wieczory?

Nie odpowiedziała na to pytanie. Nie chciała współczucia, a gdyby opowiedziała mu, jak spędza wolny czas, zabrzmiałoby to jak skarga. Steve, zawsze pełen energii i inicjatywy, zacząłby się pewnie użalać nad nią, gdyby usłyszał o samotnych godzinach, które upływały jej na czytaniu i słuchaniu radia.

Jasne, że nie zawsze była sama, ale ponieważ Steve nie znał Forresterów, nie mogła oczekiwać, że będzie umiał ocenić właściwie ich rolę w jej życiu. Jak miała mu wyjaśnić, czym były dla niej niemal codzienne rozmowy z obu paniami Forrester, Carol i Billym, krótkie wizyty, jakie składali w jej małym pokoiku? Jak bardzo lubiła swych nowych przyjaciół?

Towarzystwo Carol działało na Becky podniecająco. Nastolatka, dla której jeszcze do niedawna liczyła się wyłącznie dyskoteka i chłopcy, zaczęła ostatnio poważnieć i dojrzewać wewnątrz. Carol z głupiutkiej gąski zmieniała się w otwartą na świat, mądrą dziewczynę.

Z zadumy wyrwał ją głos Steve'a.

- O czym pani teraz myśli? - zapytał łagodnie. Drgnęła lekko, potem uśmiechnęła się i odparła:

- Przepraszam. To niegrzecznie z mojej strony.

- Nic nie szkodzi, przecież każdy się może zamyślić. A mnie podoba się wszystko, co pani robi - dotknął delikatnie jej ręki. - Widzi pani, Becky, znamy się wprawdzie niezbyt długo, ale... - Powiedział to tonem tak znaczącym, że aż się zarumieniła.

- Steve, proszę!

Pozwoliła na to, by przytrzymał przez chwilę jej dłoń, ale zaraz potem ją cofnęła.

- To był piękny wieczór. Dziękuję, że mnie pan tu zaprosił.

Uśmiechnął się smutno i dokończył za nią:

- Ale mam nie psuć tego wieczoru. To chciała pani powiedzieć? Kochana Becky, sprawia pani ostatnio wrażenie tak smutnej, tak zagubionej... Ale przy tym - nie wiem, czy to dobrze wyrażę - jest pani o wiele delikatniejsza, mniej nieprzystępna niż kiedyś.

- Jestem dla pana ciężarem!

- A więc tak to pani widzi? W takim razie mogę panią zapewnić, że z mojej strony wygląda to zupełnie inaczej. Teraz nie mogę poświęcić zbyt wiele czasu żadnej dziewczynie, zbyt jestem zajęty, ale gdy skończy się wreszcie ta kampania, nie uda się pani tak łatwo mnie pozbyć.

Becky lubiła Steve'a. Jego zaproszenie potraktowała jako miłą ucieczkę od szarej codzienności. Ale nie zapomniała przecież o Paulu. I zawsze będzie darzyć go miłością, nawet jeśli miałyby nigdy nie doczekać się wzajemności. Steve zasługiwał na coś więcej niż na dziewczynę, której serce należało do innego.

- Proszę sobie nie obiecywać zbyt wiele - odparła. - To, że przyszedłam tu dzisiaj, nie oznacza, że będę przyjmować pana zaproszenia.

- Ale na wykład pani przyjdzie? - nalegał. - Możemy się przecież spotkać po wykładzie i wypić razem kawę.

Becky z mieszanymi uczuciami myślała o tym wykładzie. Nie miała zbyt wielkiej ochoty tam iść, wiedziała bowiem, że będzie tam Alice. I prawdopodobnie także Paul, jeśli tylko znajdzie czas.

Imprezę przedwyborczą na uczelni traktowano powszechnie jako ważne wydarzenie polityczne.

Na myśl o tym, że Paul spotka tam Alice, poczuła dławiący ból w piersi. Wprawdzie nie wspominał nawet słowem o jej kuzynce, nie powiedział też, czy przyjął zaproszenie na kolację, ale Becky znała Alice i wiedziała, że ta nigdy się nie poddaje. Jedna odmowa na pewno jej nie zniechęci.

\*\*\*

Był pogodny październikowy wieczór. Na ciemnym niebie błyszczały gwiazdy. W powietrzu czuło się chłodny powiew jesieni. Becky szybkim krokiem przemierzała drogę od przystanku autobusowego do gmachu uczelni.

Mieściła się ona w starym budynku, jednym z najstarszych w mieście. Aula, w której miał wystąpić Steve, znajdująca się na pierwszym piętrze, w chwili gdy Becky przestąpiła jej próg, była już do połowy wypełniona. Becky wybrała sobie miejsce w ostatnim rzędzie, żeby wszystko dobrze widzieć, a jednocześnie pozostać nie zauważoną. Poszukiwała wzrokiem Paula i odnalazła go w pierwszym rzędzie. Obok niego siedziała Alice. Miała na

sobie jasny płaszcz z wielbłądziej wełny, którego kolor doskonale harmonizował z włosami. Głowę pochyliła w kierunku Paula, jakby uważnie słuchała tego, co on mówił.

Becky rozpoznała wśród zebranych kilkoro znajomych. Zobaczyła niewysokiego mężczyznę, nazywanego przez wszystkich Joe, Augustę Shelburne wraz z kotem, siedzącym jej na kolanach oraz kilku innych pacjentów.

Paul dobrze wywiązał się ze swego zadania. Mieszkańcy Małego Chicago przybyli licznie na spotkanie.

Na podium siedziało siedmiu przywódców różnych partii politycznych. Będąc od pewnego już czasu stałą czytelniczką prasy, Becky wiedziała, że obecnie politycy jak jeden mąż popierali Steve'a.

Każdy z nich wygłosił krótkie przemówienie, po czym rozpoczął się wielki występ Steve'a. Witany burzliwymi oklaskami stanął na mównicy.

W swym wystąpieniu podał ważne argumenty. Nie bał się oskarżyć rządzącej kliki o korupcję. Zebrani słuchali w napięciu, a gdy kilka razy padły konkretne przykłady nadużyć i sprzeniewierzeń, niektórzy spośród obecnych potwierdzają kiwali głowami.

Przemówienie zostało przerwane tylko jeden raz i to na krótką chwilę. Augusta Shelburne, trzymając kota na ręku, wstała nagle i w środku wykładu opuściła salę.

Niewiele osób zadziwił ten incydent Pani Shelburne uchodziła powszechnie za dziwaczkę i wszyscy tolerowali jej ekscentryczne zachowanie.

Gdy Steve zakończył przemówienie, nagrodzono go gorącymi oklaskami. Podniósł ręce i jeszcze raz poprosił o ciszę.

- Chciałem państwa prosić o jeszcze jedną chwilę uwagi - powiedział. - Moi przyjaciele, których widzicie państwo tu na podium, pragną dodać kilka słów do tego, co powiedziałem. To nie potrwa dłużej niż pół godziny. Dziękuję państwu za uwagę.

Po tych słowach zszedł z podium i Becky pomyślała, że już za chwilę będzie czekał na nią na zewnątrz. Prawie wszyscy pozostali na swoich miejscach. Oprócz niej salę opuściły najwyżej trzy, może cztery osoby.

Wymknęła się nie zauważona przez nikogo i była z tego absolutnie zadowolona. Ostatnią rzeczą, której by sobie życzyła, byłoby spotkanie z Alice i Pauliem. Widok ich siedzących razem sprawiał jej więcej bólu, niż się tego spodziewała.

Poczekwała kilka minut w przejściu, potem zeszła po schodach i znalazła się na niewielkiej, bocznej uliczce. Chciała przepuścić te nieliczne osoby, które jednocześnie z nią wyszły z sali. Nie chciała, by ktoś zobaczył ją ze Steve'em i żeby o jej randce z kandydatem na burmistrza dowiedzieli się panowie z prasy. Becky stanęły przed oczyma wielkie nagłówki w gazetach. Wolą nie ryzykować.

Szła powoli słabo oświetloną ulicą. Umówili się, że spotkają się u jej wylotu. Dotarłszy tam, Becky zatrzymała się i cofnęła szybko o kilka kroków. W jej stronę szli pospiesznie dwaj mężczyźni. Obaj mieli nasunięte na oczy kapelusze, a w mdłym świetle latarni zobaczyła zamiast ich twarzy dwie niewyraźne plamy.

Na widok Becky odwrócili się nagle i ruszyli w przeciwnym kierunku. Popędzili przed siebie ze spuszczonej głowami. Becky zauważyła jeszcze, że jeden z nich zderzył się po drodze z jakąś kobietą idącą spokojnie chodnikiem.

Kobieta zatrzymała się w pobliżu latarni i Becky rozpoznała szczupłą, przygarbioną sylwetkę i pomarszczoną twarz. Augusta Shelburne wyprowadzała na smyczy swego kota. Zderzenie było tak silne, że ta aż zatoczyła się. Krzyknęła głośno:

- Niech pan trochę uważa! Prawie rozdeptał pan Puszka!

Mężczyźni spadł z głowy kapelusz. Schylił się, żeby go podnieść, po czym dwoma susami dogonił swego towarzysza.

Augusta Shelburne wzięła kota na ręce i przytuliła policzek do miękkiego futerka. Becky już zamierzała odejść, gdy naraz usłyszała jakiś cichy głos.

Krew zastygła jej w żyłach.

Rozpoznała natychmiast ów odgłos. Taki jęk mógł się wydobywać z ust tylko bardzo cierpiącego człowieka. Dobiegał gdzieś z mroku. Chwilę potem zobaczyła mężczyznę, który leżał bezwładnie na ziemi. Podbiegła i pochyliła się nad jego twarzą.

To był Steve Pryor.

Jedną rękę miał nienaturalnie wykrzywioną; musiała być złamana. Na środku czoła widniała krwawa rana.

Ktoś pobił go w brutalny sposób. Na moment serce jej przestało bić.

Nagle ulica ożywiła się. Usłyszała głośne wołanie i odgłos zbliżających się kroków. Potem, zadziwiająco szybko z wyciem syreny zjawił się samochód policyjny.



Ktoś powstrzymał dum, który zaczął się już gromadzić wokół niej i ranego. Becky kątem oka zauważyła, że jakiś mężczyzna przyklęknął obok. Spojrzała i rozpoznała Paula. Mruknął:

- Rana wygląda paskudnie. - Położył rękę na karku nieprzytomnego i delikatnie podniósł do góry głowę. Drugą ręką zbadał dokładnie czaszkę.

- Złamanie! - orzekł ponuro. - Dostał jeden cios w tył głowy, drugi w czoło.

- To byli dwaj mężczyźni - stwierdziła Becky. - Widziałam ich. Musieli go śledzić, a potem pobić.

Pochylił się nad nią policjant i pomógł jej wstać.

- Karetka zaraz tu będzie, proszę pani. Powiedziała pani, że widziała sprawców? To musi zostać zaprotokołowane.

- Samego zdarzenia nie widziałam - odparła. - Gdy dochodziłam do miejsca wypadku, tamci uciekali. Widziałam ich przelotnie, kiedy mijali mnie. Jestem pielęgniarzką doktora Colemana - dodała. - Czy z przesłuchaniem można trochę poczekać?

Podawała swoje nazwisko i adres. Tymczasem nadjechała karetka. Pod czujnym okiem Paula dwaj sanitariusze przenieśli Steve'a na nosze i załadowali do samochodu.

- Jadę z wami - zaproponowała Becky.

- Jak pani chce - burknął Paul, ale wiedziała, że gniew doktora nie był skierowany przeciwko niej. Brutalne napady zawsze wywoływały w nim wściekłość. - Wynajęte zbiry burmistrza, jak sędzę - wymruczał ze złością. - To jego metoda osiągania celu. Bez względu na wszystko chce pozostać na stołku. Prawdopodobnie uznał, że Steve zdobył trochę za dużo popularności wśród wyborców i ma większe szanse na wygraną. Może nawet uda mu się wykurzyć Hardcastle'a. To znaczy, jeśli z tego wyjdzie...

- Chyba pan nie sądzi...

- Nie będziemy bawić się tutaj w zgadywanie. W każdym razie wygląda to na paskudne pęknięcie czaszki. Rentgen powie nam coś więcej.

\*\*\*

Doktor odezwał się ponownie, gdy zbliżali się do bramy Palmer Memorial Hospital. Spojrzał ostro na Becky i zapytał:

- Dlaczego właściwie przyjechała pani z nami, Becky? Nic tu po pani. Bez fartucha nie wejdzie pani do środka.

- Poczekać - odparła spokojnie. - I tak nie zasnę, dopóki nie dowiem się, co ze Steve'em.

Spojrzał na nią badawczo, z powagą, aż się zaczerwieniła. Dopiero po chwili odezwał się:

- Skąd się właściwie pani wzięła na tej bocznej uliczce?

- Czekałam na Steve'a. Mieliśmy iść gdzieś na kawę.

Jego głos natychmiast nabrał rzeczowego tonu.

- Cóż, w takim razie rozumiem, dlaczego chce pani być przy Steve'ie. Dam pani znać, gdy będą już zdjęcia.

Zawieziono go na oddział pomocy doraźnej. Paul podążył za pielęgniarką, pchając przed sobą wózek i zniknął po chwili w korytarzu.

Becky została sama Sama ze swymi myślami i strachem.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie powagę sytuacji. Dotychczas, mimo incydentu z kamieniem i złośliwościami komentarzy prasowych, nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie stale zagrażało Steve'owi. Teraz doznała nagle wrażenia, że miasto, w którym się urodziła i wychowała, jest ogromną, betonową dżunglą.

Czekała cierpliwie, ale napięcie rosło w niej z minuty na minutę.

Wreszcie Paul wrócił.

Opowiedział jej, że nastawił złamaną rękę. Natychmiast po wywołaniu obejrzał zdjęcia rentgenowskie czaszki. Z ponurą miną oznajmił, że Steve ma pękniętą czaszkę.

- Jutro rano znów obejrzę zdjęcia. Steve potrzebuje teraz stałej opieki. To już jest pani zadanie: sprawdzanie co pół godziny wszystkich funkcji życiowych i badanie reakcji na bodźce. Leży na szóstym piętrze, tylko tam było wolne łóżko. Siostry mają pełne ręce roboty, są tylko dwie na trzydziestu sześciu pacjentów. Jakimś cudem udało się załatwić prywatną pielęgniarkę. Schodziła właśnie z dyżuru i chciała iść do domu. Przekonałem ją, żeby przynajmniej na dzisiejszą noc została przy Stevie. Na jutrzejszy dzień pewnie kogoś znajdę, ale martwi mnie, że nie ma nikogo na zmianę. Żadna pielęgniarka nie chce pracować od trzeciej do jedenastej. - Niecierpliwie machnął ręką. - Ale teraz zawiozę panią do domu - zaproponował. -

Wciąż pani mieszka u tych ludzi... zaraz, nazywają się chyba Forresterowie, prawda?

Przytaknęła, zajęta w myślach czymś innym. Zająwszy miejsce w samochodzie, powiedziała z namysłem:

- Proszę, niech pan posłucha, przecież ja mogłabym przejąć jutrzejszą zmianę. Jeśli zwolniłby mnie pan na kilka godzin z przychodni, mogłabym pojechać prosto do kliniki. Wprawdzie nie dotarłabym tam wcześniej niż na

piątą, ale to oznaczałoby, że Steve tylko parę godzin będzie bez stałej opieki. Chętnie się tego podejmę.

- Naprawdę? - odwrócił szybko głowę i spojrzał na nią. - Rzeczywiście chce pani pracować cały dzień w przychodni, a potem wieczorem spędzić jeszcze sześć godzin w klinice? Dlaczego, Becky? - Jego głos nabrał ostrości. Dlaczego to takie ważne dla pani?

Nie mogła zdradzić prawdziwego powodu. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego chciała wziąć na siebie ten obowiązek. Może czuła się współodpowiedzialna za to, co się stało, bo Steve wybrał tę ciemną uliczkę z jej powodu i w pewnym sensie przez spotkanie z nią został tak brutalnie pobity.

Ale czuła też coś więcej. Jej serce było obecnie otwarte dla innych ludzi, wrażliwe na ludzkie cierpienie. Sumienie mówiło jej, że musi pomóc Steve'owi. Walczył o oczyszczenie miasta z bandytyzmu i o wyplenienie gangsterskich metod politycznego działania.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Paul odezwał się znowu:

- No cóż, w końcu to nie jest moja sprawa. Cieszę się, że przejmuje pani wieczorną zmianę.

Kiedy po kilku minutach znaleźli się pod domem Forresterów, powiedział na pożegnanie:

- Dziękuję, Becky, za wszystko. Pani pomoc jest nieoceniona.

Z radości aż się zarumieniła. Nawet jeśli doceniał tylko jej pracę, było to lepsze niż nic. W holu czekała na nią pani Forrester.

- Ma pani gościa - oznajmiła. - Jakiś pan czeka na panią w salonie.

W oczach pani Forrester lśniła skrywana ciekawość, ale szybko wycofała się do kuchni, pozostawiając Becky sam na sam z owym nieoczekiwanym przybyszem.

Młody mężczyzna przedstawił się jako Samuel Hayward. Poinformował ją, że prowadzi śledztwo w sprawie napadu na Steve'a Pryora. Poprosił Becky, żeby wyczerpująco opisała całe zdarzenie.

Zacząła opowiadać. Mogła podać tylko przybliżony opis obu zbirów. Wiedziała, że jej zeznania niewiele pomogą w odnalezieniu sprawców napadu. Ale i tak było rzeczą wątpliwą, by sprawa została wyjaśniona.

Paul był zdania, że policję kierowali ludzie związani z kliką burmistrza. Nawet gdyby sprawcy zostali odnalezieni, Becky nie wierzyła, że poniosą należyłą karę.

- Niestety, nic więcej nie potrafię powiedzieć - zakończyła opowiadanie.

Nagle coś ją tknęło. Przyszło jej na myśl, że nie tylko ona widziała z bliska obu mężczyzn. Był jeszcze inny świadek.

- Augusta Shelburne! - wykrzyknęła. - Ona też tam była. Jeden z mężczyzn zderzył się z nią i spadł mu z głowy kapelusz. Podniósł go i musiał odsłonić na chwilę twarz. Może pani Shelburne panu pomoże.

Hayward zanotował skrupulatnie nazwisko i adres pani Shelburne. Potem opuścił dom.

Becky poczuła się teraz trochę nieswojo. Może postąpiła niewłaściwie, wciągając małą staruszkę w całą tę sprawę. Pani Shelburne, opowiadająca ciągle nieprawdopodobne historie o swoim życiu, nie była być może zdolna do przekazania policji tego, co naprawdę widziała. Rzeczywistość i fantazja zdawały się ustawicznie mieszać w starej głowie.

Becky z niechęcią przyznała się sobie samej, że najprawdopodobniej wplątała tę kobietę w sytuację, która na pewno nie pomoże jej odzyskać równowagi umysłu.

Następnego dnia Paul zwolnił Becky przed czwartą. Zaproponował jej nawet, że opuści na chwilę przychodnię i zawiezie ją do kliniki.

Odrzuciła tę propozycję, wiedziała bowiem, że nawet po jego krótkiej nieobecności w przychodni wywróci się do góry nogami cały porządek dnia. Powiedziała mu, że spacer dobrze jej zrobi.

Steve leżał nieprzytomny. Kilka razy ocknął się na chwilę i mruzczał do siebie coś, czego nie można było zrozumieć. Siostra oddziałowa, do której Becky zgłosiła się na dyżur, znała ją jeszcze z czasów szkolnych.

- Robi pani postępy - zauważyła z lekką ironią. - Dopiero rok temu ostatni egzamin, a teraz już prywatne dyżury przy takiej osobistości...

Przytyki tego rodzaju i dwuznaczne spojrzenia nie zdołały wyprowadzić Becky z równowagi. Była tu tylko dlatego, że potrzebował jej Steve. Wszystko inne się nie liczyło. A już na pewno nie wzięła tych dyżurów po to, żeby wynosić się nad szkolne koleżanki.

Pochyliła się nad swym pacjentem i zaczęła przygotowywać się do wykonania pierwszego badania, gdy naraz usłyszała na korytarzu leciutki stukot obcasów. Do sali wkroczyło różowe zjawisko: Alice. W fartuchu wolontariuszki wyglądała uroczo. Jej oczy płonęły ciekawością. Krzywym spojrzeniem obrzuciła czepek i wygodne buty na płaskim obcasie, które Becky miała na sobie.

- A więc przyszłaś tu, żeby opiekować się Steve'em. Jakie to szlachetne! Ale jeśli sądzisz, że wkradniesz się w ten sposób w jego łaski, to bardzo się

mylisz. Steve to nie byle kto. Ma spore szanse zostać pierwszym obywatelem tego miasta. Poza tym to mnie przysługuje prawo starszeństwa.

Była to czysta złośliwość, ale Becky nie dała się sprowokować i spokojnie odpowiedziała:

- Alice, skoro już tu pracujesz, to wracaj z łaski swojej na oddział. Będąc ochotniczką, łamiesz przepisy spacerując sobie po klinice.

Kuzynka zaśmiała się pogardliwie.

- Bawimy się w przełożoną, co? A co zrobisz, jeśli nie posłucham? Złożysz skargę? Wyrzucisz mnie?

Po tych słowach wyszła, dumnie zadzierając do góry blond głowę.

Zgodnie z poleceniem Paula, Becky co trzydzieści minut kontrolowała funkcje organizmu Steve'a. Obserwowała oddech, mierzyła ciśnienie, puls i temperaturę. Sprawdzała, czy źrenice reagują na światło i próbowała przywrócić Steve'a do przytomności.

Bez skutku.

Sprawdziła, czy igła kroplówki nie wysunęła się z żyły w zdrowej ręce; Steve był teraz odżywiany dożylnie. Każdą czynność zapisywała skrupulatnie w karcie chorego.

Z korytarza dobiegł ją stłumiony odgłos wielu kroków. Kończył się czas odwiedzin i goście tłumnie zmierzali ku wyjściu. Jakiemuś reporterowi udało się prześliznąć aż do drzwi sali, w której leżał Steve. W sposób uprzejmy, ale zdecydowany zmuszono go do opuszczenia szpitala. Pojawił się też policjant, który chciał uzyskać jeszcze kilka szczegółów do protokołu i Becky zamieniła z nim parę zdań.

Czuła instynktowną niechęć do człowieka w mundurze i sama miała to sobie za złe. Nie powinno się przecież mierzyć wszystkich tą samą miarą. Przekupni i leniwi psuli dobrą opinię wszystkim innym policjantom.

Bez wątpienia znalazłoby się wielu policjantów uczciwych i godnych zaufania - jednym z nich był może również właśnie ten, z którym teraz rozmawiała. Ci zapewne przeklinali los za to, że zesłał ich właśnie do tego miasta.

Policjant wkrótce wyszedł, a jedna z praktykantek przyniosła na tacy posiłek.

Myśli Becky krążyły ciągle wokół Steve'a. Wkrótce powinny być gotowe najnowsze zdjęcia rentgenowskie, które ostatecznie rozstrzygną, czy został uszkodzony mózg.

Steve leżał bardzo spokojnie i mogło się wydawać, że serce przestało mu bić. Stojąc tak przy jego łóżku i przyglądając się ze współczuciem nieruchomemu ciału, zrozumiała naraz, dlaczego tak wielu lekarzy i tak wiele pielęgniarek potrafiło zdobyć się na ogromne poświęcenie, walcząc o ludzkie życie. Chyba nikt nie mógł oprzeć się owej niemej prośbie o pomoc.

Steve jej potrzebował. Być może był w tej chwili jedynym człowiekiem na świecie, któremu była naprawdę potrzebna.

Rodzice, jak się okazało, pogodzili się już z jej odejściem. Nigdy jej nie odwiedzili ani nie prosili, by wróciła. W krótkich telefonicznych rozmowach dali jej do zrozumienia, że uważają, iż wkrótce zmieni swoją decyzję. Becky wiedziała, co myśli matka. Ona po prostu spokojnie czekała, aż jej córka "zmańdrzeje".

Gdyby porzuciła pracę, Paul odczuwałby jej brak tylko tak długo, dopóki nie znalazłby zastępstwa.

Czuła, że nie potrafi już dłużej żyć samotnie. Być może popełniła błąd, powstrzymując Steve'a przed wyznaniem miłości. Może następnym razem powinna go wysłuchać.

Na sali robiło się stopniowo coraz ciemniej. Nadeszła już pora krótkich jesiennych dni. Becky chciała zaznać choć odrobiny prawdziwego życia. Nie potrafiła jednak brać miłości tak lekko jak Alice.

Musiała się zdecydować, jakie właściwie ma zamiary wobec Steve'a.

## ROZDZIAŁ VII

Następnego dnia wracając z dyżuru, natknęła się na Robin Hooda. Miała zamiar iść do domu pieszo. Okolice szpitala były jasno oświetlone, a po drodze nie mijała prawie żadnej podejrzaney ulicy.

Próbowała wytłumaczyć to Robinowi, ale on wziął ją za rękę.

- Nie chcę pani do niczego namawiać - oznajmił z godnością. - Wiem, czego mogę oczekiwać, a czego nie. Była pani dla mnie zawsze bardzo miła, ale zawsze dawała mi pani do zrozumienia, że nie powinienem przekraczać pewnych granic. Należymy do dwóch różnych światów. Ale mimo to nie pozwolę pani na samotne wieczorne spacerować. To, co ci faceci zrobili z Pryorem, dowodzi, że nie cofną się przed niczym. Nie chcę, żeby coś się pani stało.

Zapytała go, skąd wie, że pracuje teraz w klinice.

- Nie wychodziła pani ostatnio z przychodni o zwykłej porze, więc dowiedziałem się wszystkiego od doktora. Przyjechałem tutaj i oto jestem. Robię to zupełnie bezinteresownie.

W Robinie tkwił jednak jakiś okrucuch dobra. Becky stwierdziła to nie bez satysfakcji i od razu popatrzyła na niego innymi oczami.

Tak jak zapowiedział, nie oczekiwał od niej niczego w rewanżu. Chyba nawet nie liczył na rozmowę. Becky zaczęła mówić o jego matce. Oczywiście, zaraz rozgadał się na ten temat i, o dziwo, jakby zapomniał o swojej zwykłej pyszałkowatości.

Potem napomknęła o Alice.

- Ta pani kuzynka to niezłe ziółko. Umówiłem się z nią parę razy, tak sobie, zupełnie niewiążąco. Uff, ta to może człowiekowi niezłej biedy napytać. Od razu to zauważyłem. Dlatego teraz trzymam się od niej z daleka.

Zatrzymali się przed domem Forresterów. Robin nalegał, żeby odprowadzić ją do samych drzwi.

- Nie powinna się pani tak przepracowywać - upomniął ją. - Za dużo pracy nie wyjdzie pani na dobre. A więc do jutra, do wieczora.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że nie ma potrzeby, by ją odprowadzał, ale już jej nie słyszał.

Gdy następnego dnia wyszła z przychodni, zaproponował jej podwiezienie do kliniki. Czuła się trochę śmiesznie pod taką opieką, ale Robin wożąc ją wszędzie, gdzie tylko chciała, pozwalał zaoszczędzić mnóstwo czasu i energii. A tej ostatniej nie miała zbyt wiele, obarczona podwójną pracą.

Stan Steve'a poprawił się nieznacznie. W dwa dni po napadzie odzyskał na krótko przytomność. Czwartego dnia rozpoznał ją i próbował się nawet uśmiechnąć.

Najnowsze zdjęcia rentgenowskie wykazały, że życiu jego nie zagraża już niebezpieczeństwo. Tego wieczora odwiedził go również Paul.

- Już niedługo będziemy mogli wypuścić cię do domu, Steve. Będziesz wyglądał niezmiernie romantycznie z ręką w gipsie. Może zyskasz dzięki temu kilku nowych wyborców.

Potem zwrócił się do Becky:

- Dość tego rozpieszczania. Nie sędzę, żeby potrzebował jeszcze zbyt długo intensywnej opieki.

Po wyjściu Paula Steve wyciągnął zdrową rękę i skinął na Becky, żeby podeszła bliżej. Ścisnął jej dłoń, najpierw delikatnie, potem mocno, zdecydowanie. Jego oczy błyszczały. Dziewczynie szybciej zabiło serce.

- Becky - odezwał się cicho. - Zupełnie nie wiem, jak ci dziękować. Poświęciłaś dla mnie bardzo wiele. Kochałem cię już wcześniej, ale teraz, gdy znam cię bliżej, wiem, że jesteś kobietą, jakiej zawsze pragnąłem. Jesteś tak dobra i wyrozumiała. Becky, czy zechciałabyś...

A więc nadszedł ten moment. I to szybciej, niż się spodziewała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

To, co oferował jej Steve, było nęcące. Naprawdę ją kochał. Przypomniała sobie, co powiedziała o nim Alice. Już niedługo może zostać pierwszym obywatelem tego miasta.

"Jeśli wyjdę za niego, będę tutaj pierwszą damą" -pomyślała. Wyobraziła sobie radość rodziców. Byłaby to wyśmienita okazja do pojednania.

Gdyby kilka minut temu nie pojawił się tu Paul, nie wiadomo, co by się stało. Ale teraz znów była jak pod działaniem czaru. Zbyt mocno jeszcze czuła tęsknotę, ogarniającą ją zawsze, gdy był przy niej obecny.

- Powinniśmy porozmawiać o tym innym razem - odparła wymijająco. Nie chciała denerwować Steve'a. - W tej chwili musisz myśleć tylko o tym, żeby wyzdrowieć. To jest teraz najważniejsze.

Nie powrócił już do tego tematu. Zainteresował się natomiast przebiegiem kampanii wyborczej. Chciał koniecznie wiedzieć, czy ujęto już bandytów.

Becky zrelacjonowała mu, co pisał "Kurier". Konserwatywna i zazwyczaj neutralna gazeta opowiedziała się tym razem zdecydowanie po stronie Steve'a. Autor jednego z artykułów oskarżył dosłownie przeciwników Pryora o użycie płatnych morderców.



- Organizację imprez przejęli teraz twoi współpracownicy - powiedziała. - Do wyborów zostało jeszcze dziesięć dni. Do tego czasu na pewno wyjdiesz ze szpitala.

- Pewnie ich nie złapią - mruknął zrezygnowany. - Nie ma nawet o czym gadać.

Mylił się. Następnego dnia w przychodni zjawiała się Augusta Shelburne, Przyszła na cotygodniowy zastrzyk. Tego popołudnia była szczególnie ożywiona, a jej oczy błyszczały.

Już w drzwiach zaczęła opowiadać o najnowszych wydarzeniach:

- Siostró Becky, było tak samo, jak w telewizji. Ten miły pan, który nazywał się, o ile pamiętam, Hayward, przyszedł do mnie i zabrał mnie na posterunek. Tam pokazali mi całą masę zdjęć. Obejrzałam chyba kilkaset fotografii. Ale rozpoznałam tych dwóch mężczyzn, którzy pobili pana Pryora. - Napuszyła się dumnie. - A jak już złapali przestępców, musiałam iść tam jeszcze raz. Żeby ich zidentyfikować - dodała z ważną miną, zadowolona, że zna takie fachowe określenia. - Rozpoznałam ich w grupie innych mężczyzn. Teraz siedzą w więzieniu i czekają na proces.

- Była pani całkowicie pewna, pani Shelburne? - Becky zatrzymała się ze strzykawką w ręku, patrząc w osłupieniu na starą pannę, zachowującą się dzisiaj w bardzo niezwykły sposób. - Wie pani na pewno, że to ci dwaj?

- Ależ oczywiście! Widziałam ich przecież z bliska. Mam nadzwyczaj dobrą pamięć'. Mój ojciec zawsze ją podziwiał. Widzi pani, w tym roku, kiedy zadebiutowałam i zostałam przedstawiona na dworze królowej...

Becky nie miała czasu na wysłuchiwanie kolejnych fantazji pani Shelburne. Przerwała jej i zapytała: - I co teraz?

Pani Shelburne poinformowała, że wniesiono oskarżenie o usiłowanie zabójstwa.

- Pan Hayward zwierzył mi się, że do naszego miasta przeniesiono go odgórnie. To dlatego, że zarzuca się naszemu aparatowi policyjnemu korupcję. Ma tutaj powiać świeży wiatr. Rozprawie w przyszły poniedziałek będzie przewodniczył sędzia, który nie da się zastraszyć Hardcasde'owi i jego wspólnikom. Wprawdzie będzie to dopiero pierwsza rozprawa, ale pan Hayward mówi, że ma ona wielkie znaczenie. Jestem głównym świadkiem oskarżenia Będę zaprzysiężona - dodała z nie ukrywaną dumą.

Podwinęła rękaw, odsłaniając żylastą rękę.

Godzinę później Becky znalazła w skrzynce na listy wezwanie sądowe dla siebie i Paula. Jako świadkowie mieli zeznawać, co widzieli owej feralnej nocy.

Becky nie była nastawiona zbyt optymistycznie.

- Zna pan przecież panią Shelburne - powiedziała do Paula. - Wątpię, czy potrafi odróżnić rzeczywistość od własnych fantazji. Czasami sprawia wrażenie osoby niespełna rozumu. A ci faceci na pewno mają adwokata, który zna doskonale swój fach. Już Hardcastle się o to postara.

Coleman także nie był zachwycony perspektywą rozprawy.

- Naprawdę nie mam czasu na przesiadywanie w sądach. Zwłaszcza, jeśli jest to bezcelowe.

\*\*\*

W poniedziałek rano Becky prosto z domu udała się do sądu. Odnalazła salę rozpraw i zajęła miejsce w jednym rzędzie z panią Shelburne i Haywardem. Publiczność nie była zbyt liczna.

Nie widziała nigdzie burmistrza, ale i nie spodziewała się go tu spotkać. Tuż za ławą oskarżonych siedzieli adwokaci, zobaczyła tam także kilku mężczyzn o ponurych, zamkniętych twarzach.

Paul pojawił się zaraz po niej i usiadł z boku. Z zainteresowaniem obrzucił wzrokiem oskarżonych, którzy zachowywali się przesadnie beztrosko. Potem na salę wszedł sędzia i rozprawa się rozpoczęła.

Po krótkim wprowadzeniu wywołano świadka Augustę Shelburne. Zdumiewająco jak na jej wiek sprężyste wstała i wystąpiła naprzód. Zeznawała piskliwym, drżącym głosem. Gdy poproszono ją o wskazanie mężczyzn, których widziała owej nocy na ulicy, uczyniła to bez wahania.

Wycelowwała swój kościsty palec w przestępców, siedzących na ławie oskarżonych.

- To oni. Nigdy nie zapomnę tych twarzy. Jeden z nich omal nie rozdeptał mego Puszka. Puszek to mój kot - wyjaśniła sędziemu. - Widziałam ich bardzo wyraźnie.

Jeden z obrońców wstał i zaczął zadawać jej pytania. Początkowo robił to obojętnym, niemal dobrotliwym tonem. Pytał, czy na ulicy było bardzo ciemno, czy ma dobry wzrok, czy przypadkiem nie nosi okularów i z jaką prędkością minęli ją mężczyźni.

- Ale nie widziała pani, żeby na kogoś napadli, prawda? Samego wypadku nie widziała pani?

Sapnęła cicho przez nos.

- Tego nie, ale biegli prosto z miejsca przestępstwa Nikogo poza tym na ulicy nie było. Leżał tylko pan Pryor, nieprzytomny. Jeśli to nie byli oni, to...

Adwokat błyskawicznie jej przerwał. Tym razem jego głos brzmiał ostrzej.

- Pani Shelburne, pani pamięć chyba często płata pani figła, prawda? W pani wieku to całkiem naturalne. Czy zgodzi się pani ze mną, że niektóre rzeczy zadziwiająco szybko się zapomina?

Ze złością przerwała te insynuacje:

- Moja pamięć nigdy mnie nie zawodziła... Ojciec mawiał zawsze...

- Mówię o tym, jak jest teraz, odkąd posunęła się pani w latach. Czy nie wmawia pani ludziom pewnych rzeczy, które nigdy nie miały miejsca? Na przykład snuje pani niezwykle opowieści o swym pochodzeniu. Pochodzi pani rzekomo z szanowanej i bogatej rodziny. Czy nie tak?

Mała pani Shelburne wyglądała tak, jakby miała wybuchnąć płaczem.

- Ależ to prawda! Byliśmy niegdyś bardzo zamożni!

- A mimo to mieszka pani w Małym Chicago?

Staruszka była coraz bardziej zdenerwowana. Mięśnie jej pomarszczonej twarzy drgały nerwowo. Szukała wzrokiem pomocy u sędziego.

Obrońca nie ustępował.

- Tam pani przecież mieszka, prawda? A może nie wie pani tego dokładnie, pani Shelburne?

Becky ścisnęło się serce. Drobna staruszka w dziwacznej sukni wyglądała teraz jak zaszczute, małe zwierzątko.

Paul wyszeptał:

- Będzie miała szczęście, jeśli nie wytoczą jej sprawy o ubezpieczenie. Ci faceci nie mają przecież żadnych skrupułów, a obrońca wyraźnie zmierza do tego, by zrobić z niej wariatkę.

Adwokat nie dawał za wygraną.

- A czy zaprzeczy pani, że wszystkim opowiada pani o tym, jak została pani przedstawiona na dworze królewskim Anglii?

- Ależ to wszystko prawda! - krzyknęła załamującym się głosem pani Shelburne, z trudem powstrzymując się od płaczu. - Miałam trzy piórka we włosach i przez cały tydzień ćwiczyłam dworski ukłon.

Głos jej dręczyciela nieco zmiękł. Adwokat pochylił się do przodu i z uśmiechem zapytał:

- I my mamy w to wierzyć? Jak również we wszystko to, co pani nam już przedtem opowiedziała?

- Ale to prawda!

Powtarzała ciągle te słowa, a dłonie jej wyraźnie drżały. Z trudem panowała na nimi, manipulując nerwowo przy zamku brzuchatej torby. Gdy wreszcie udało jej się ją otworzyć, zaczęła chaotycznie grzebać w obszernym wnętrzu. Wreszcie znalazła to, czego szukała.

Był to wycinek z gazety. Miał postrzępione brzegi, zżółkł ze starości i sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozsypać w proch. Ostrożnie, samymi czubkami palców wyjęła ów kawałek papieru z torby i położyła na stole przed sędzią.

Leciwy mężczyzna założył na nos okulary, spojrzął na wycinek i zaczął czytać. W sali zaległa śmiertelna cisza. Słyszał tylko tykanie wielkiego ściennego zegara.

Wreszcie sędzia podniósł wzrok i popatrzył poważnie najpierw na obrońcę, potem na panią Shelburne.

- Cóż, mam tu przed sobą bardzo stary artykuł, a właściwie notatkę z kroniki towarzyskiej, opublikowaną w jednej z brytyjskich gazet przed wieloma laty. Traktuje o wizycie pani Shelburne na dworze królewskim. Podano też, między innymi, opis jej sukni. Dla pańskiej wiadomości, panie adwokacie, chciałbym dodać, że pani Shelburne miała we włosach trzy piórka i wykonała przed królową piękny dworski ukłon. Jak pan widzi - kontynuował, uśmiechając się drwiąco - nawet starzy ludzie dysponują czasem dobrą pamięcią. Czy życzy pan sobie, żebyśmy wciągneli ten artykuł do protokołu, żeby potwierdzić wiarygodność świadka? Twarz obrońcy przybrała purpurową barwę.

- To nie będzie potrzebne - mruknął. I spojrzawszy przelotnie na świadka, dodał: - Nie mam więcej pytań.

Zeznanie Becky trwało bardzo krótko. Oświadczyła, że widziała dwóch biegnących od strony bocznej uliczki mężczyzn, ale że nie jest w stanie opisać dopadnie ich wyglądu.

Potwierdziła zeznania pani Shelburne, powiedziała, że jeden z mężczyzn zderzył się ze staruszką, gubiąc przy tym kapelusz.

Po przedstawieniu przez Paula świadectwa dotyczącego obrażeń, jakich doznał Steve, sędzia uznał, że oboje mogą już odejść. Pozostali na sali, chcieli bowiem wiedzieć, jak zakończy się rozprawa.

Orzeczenie sędziego było krótkie i jednoznaczne. Aż do ogłoszenia wyroku obaj oskarżeni pozostaną w areszcie. Nie przyjęto kaucji. Było to zwycięstwo poszkodowanego.

W korytarzu Becky natknęła się na pana Haywarda.

- Pani Shelburne była wspaniała. - Uśmiechnął się, wziął w objęcia drobną staruszkę i mocno uściskał. - Mam nadzieję, że będzie pani równie dzielna na rozprawie głównej. Czy dopilnuje pani, panno Hazlett, żeby naszej bohaterce nic się nie stało po drodze? Pani Shelburne jest teraz dla nas najważniejszą osobą. Potrzebujemy pani, żeby wsadzić tych gangsterów za kratki.

Oddalił się szybkim krokiem, a Becky zwróciła się do starszej damy:

- Doktor musi natychmiast wracać do kliniki. My weźmiemy taksówkę.

- Kiedyś mieliśmy trzy powozy, a poza tym jednego stangreta i jednego lokaja. Ja miałam własnego wierzchowca. Miriam, tak nazywała się ta klacz. Dobrze ją pamiętam. Była cała czarna, a na czole miała białą strzałkę.

- Przypuszczam, że bardzo ją pani lubiła - odparła grzecznie Becky. - Zachowała się pani wspaniale, pani Shelburne.

Przerwała w pół zdania, gdyż nagle zastąpił im drogę jakiś mężczyzna. Poznała go natychmiast. Siedział na sali wśród publiczności i przysłuchiwał się rozprawie.

Teraz, spoglądając to na Becky, to na panią Shelburne, powiedział zdumionym głosem:

- Żadna z was nie będzie mogła zeznawać na rozprawie głównej. Już my się o to zatroszczymy.

W chwilę potem już go nie było.

Incydent sprawił, że Becky nie poszła prosto do przychodni, jak zamierzała uprzednio, ale odprowadziła panią Shelburne do domu i pozostała przy niej, czekając na przybycie pana Haywarda.

Pokój, w którym mieszkała stara dama, mieścił się na poddaszu starego domu z czerwonej cegły. Był to kiedyś z całą pewnością bardzo wytworny budynek, teraz jednak robił wrażenie zupełnie zaniedbanego.

Becky zdziwiła się, usłyszawszy, że pani Shelburne w tym właśnie budynku urodziła się i spędziła swą młodość.

- Wtedy był to piękny dom - zauważyła ze smutkiem. - A dzisiejsze Małe Chicago jedną z najlepszych dzielnic. Po śmierci papy straciliśmy wszystkie pieniądze i musiałyśmy się z mamą wyprowadzić do innej części miasta. Ale często tu przychodziłam i z rozpaczą patrzyłam, jak marnieje z roku na rok i gdy wreszcie stał się domem czynszowym, zdecydowałam się tu powrócić. Tu, gdzie teraz mieszkam, znajdowały się kiedyś pokoje dla służby.

Pokój był mały i zagracony najróżniejszymi sprzętami, gromadzonymi przez wiele lat. Dla pani Shelburne były to bezcenne skarby. Każdy drobiazg wiązał się z mnóstwem wspomnień.

- W tamtych czasach dziewczęta z dobrych domów starano się uparcie chronić przed zetknięciem się z rzeczywistym światem. Co, jak się okazuje, było wielkim błędem. Gdy tylko dosięgła mnie proza życia, byłam zgubiona.

Tym razem nie snuła swoich fantastycznych opowieści, do których tak przywykła Becky. Miała ostrzejszy umysł, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Jej ciągłe powroty do przeszłości były zapewne formą ucieczki od życia, które wydawało jej się trudne do zniesienia.

Pani Shelburne zaparzyła kawę i podała ją w delikatnych porcelanowych filiżankach. Wyjęła z blaszanej puszki kruche ciasteczka i wyłożyła je na szklaną paterę. Jej maniery były doskonałe.

Gdy przyszedł Hayward, poczęstowała go kawą i nalegała, by dopiero wtedy, gdy ją spokojnie wypije, podjęli temat związany z jego obowiązkami służbowy mi. Becky opowiedziała o zajściu. Opisała mężczyznę, który podszedł do niej na korytarzu sądowym i po wtórzyła jego groźby.

Twarz Haywarda spoważniała. Myślał o czymś przez chwilę, w końcu powiedział:

- A więc postanowili chwycić się tego środka. Nie dziwi mnie to. Nie pierwszy raz starają się zastraszyć świadków, żeby osiągnąć swój cel. - Po czym spytał: - Boją się panie?

- Oczywiście, że się boję - przyznała Becky otwarcie. - Widziałam, jak załatwiali tamtej nocy Steve'a. Ci faceci są zdolni do wszystkiego. Ale mam przecież...

Już miała powiedzieć o Robinie, swojej prywatnej ochronie, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili. Nie była pewna, jak zareagowałby Samuel Hayward, dowiedziawszy się o jej znajomości z Robin Hoodem.

- Obie panie potrzebują kogoś, kto by je chronił - powiedział poważnie. - Ale trochę się boję przydzielać wam policjantów do ochrony. Jak może paniom wiadomo, zostałem tu przysłany przez wyższe władze, żeby zrobić porządek z pewnymi sprawami. Domyślają się więc panie, że dla wielu ludzi jestem tu osobą bardzo niewygodną. Istnieje zatem możliwość, że dostałyby panie do ochrony niewłaściwych ludzi. Pani Shelburne mieszka sama, prawda?

- Tak, ale to przecież można zmienić!

Becky wypowiedziała pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy. Myśl ta zresztą wydała jej się całkiem rozsądna. Zwróciła się do Haywarda.

- Pani Shelburne może przecież mieszkać ze mną. To znaczy, u państwa Forresterów, gdzie wynajmuję pokój. W tym wielkim domu muszą być

jeszcze puste pokoje. W ten sposób pani Shelburne nie byłaby sama, bo pani Forrester jest zawsze w domu.

Hayward zastanowił się przez chwilę, po czym skinieniem głowy wyraził zgodę.

- To byłoby wyjście. Mój osobisty współpracownik i ja moglibyśmy od czasu do czasu kontrolować, czy nie grozi wam coś złego. Jeśli będą panie mieszkać razem, ułatwi nam to zadanie. Czy zgadza się pani? -zwrócił się do staruszki, która słuchała tego wszystkiego z wytrzeszczonymi oczami.

Na szczęście ona też się zgodziła i w godzinę później Becky poinformowała panią Forrester o swoim planie. Sądziła, że gospodyni będzie się wahać i nie zdziwiłaby się wcale, gdyby usłyszała odmowną odpowiedź.

Ale opowieść o rozprawie sądowej i groźbach natychmiast obudziła współczucie pani Forrester.

- Biedactwo! Oczywiście, że może się do nas wprowadzić. Pomieszczenie obok pokoju teściowej jest wolne. Będzie się tam czuła jak u siebie w domu.

Becky pomogła starszej pani przeprowadzić się do nowego domu. Jej cały dobytek zmieścił się w jednej, dużej walizce.

Oczywiście, pani Shelburne bez kota nie przeniosłaby się nigdzie. Przekroczyła próg domu Forresterów z Puszkiem na rękę, co wprowadziło Carol i Billy'ego w zachwyt.

Becky martwiła się trochę, że przybycie nowej osoby zakłóci życie rodzinne Forresterów. Obawiała się też skrycie, że nastolatki mogą się nabijać z wyglądu pani Augusty. Poza tym w domu przebywała jeszcze jedna starsza pani, która mogła się czuć urażona.

Ale ekscentryczne zachowanie pani Shelburne zdawało się fascynować Carol i Billy'ego. Troszczyli się o nią jak o własną babcie. Zwłaszcza Carol lubiła słuchać jej historii z przeszłości.

Starsze panie szybko się zaprzyjaźniły. Obie cierpiały na nieuleczalną dolegliwość starości: tęsknotę za starymi, dobrymi czasami. Godzinami mogły rozmawiać o dawno zapomnianej epoce, której nie był w stanie zrozumieć nikt, kto nie należał do tej samej generacji, co one.

Becky była wprost wzruszona, patrząc, jak Billy opiekuje się panią Shelburne. Piętnastolatek, który łąpczywie połykał powieści kryminalne i z wypiekami na twarzy oglądał wszystkie telewizyjne seriale o detektywach, gdy tylko dowiedział się, że próbowano zastraszyć świadka oskarżenia, natychmiast przyjął rolę wiernego psa obronnego.

Gdy pani Shelburne wyprowadzała kota, Billy nie odstępował jej ani na chwilę. Co wieczór odprowadzał ją aż do schodów i czekał, aż zamknie drzwi. Sprawdzał wszystkie zamki w domu i regularnie kontrolował piwnicę oraz ogród.

- Nie sądzę, żeby coś nam rzeczywiście zagrażało - zakończyła Becky swą relację o tym, w jaki sposób przyjęto panią Shelburne w domu Forresterów, - Nie wierzę, że ci ludzie naprawdę chcą nam zrobić krzywdę. Prawdopodobnie chcą nam tylko napędzić strachu, żebyśmy nie zeznawały na rozprawie głównej.

- I nie boi się pani? - spytał Paul, gdy to wszystko usłyszał.

- Cóż, czasem się trochę denerwuję - przyznała. - Boję się, gdy słyszę jakiś podejrzany hałas albo gdy siedzę sama w przychodni. Ale będąc pod opieką pana Haywarda, Robina i Billy'ego...

Doktor powoli uniósł oczy znad kartki z wynikami badań,

- Czy Robin wciąż wozi panią samochodem?

- Tak, jestem mu za to bardzo wdzięczna.

"Jak dziwnie brzmiało to słowo użyte w związku z kimś z Małego Chicago" - pomyślała Becky. Wciąż dobrze pamiętała czasy, gdy była zbyt wyniosła, żeby nawiązywać kontakt z kimś takim jak Robin Hood. Wówczas myślała kategoriami czarne-białe. Albo ktoś był dobry, albo z gruntu zły.

Ale nawet Robin miał w sobie coś dobrego, a z drugiej strony Steve Pryornie był rycerzem bez skazy. Ostatolo zauważyła u niego cechy, które nie budziły w niej zachwyty. Steve był zbyt ambitny. Wykorzystywał każdą okazję, żeby choć o małeńki szczebelek wspiąć się w górę po drabinie sukcesu. Tylko o Paulu jej opinia nie zmieniła się ani o jotę. Był bardzo zdolny, zdecydowany i miał anielskie serce: takim go kiedyś widziała i takim pozostał.

Jego głos wyrwał ją z zamyślenia.

- Lubi pani Robina? Zawsze myślałem, że Steve ma u pani fory.

"Żaden z nich tak naprawdę mnie nie obchodzi - wykrzyczałaby teraz najchętniej. - Moje serce należy do ciebie, ale ty jesteś ślepy i nie widzisz tego, co oczywiste."

Powiedziała jednak tylko chłodnym tonem:

- Niech pan nie żartuje. Robin nie wzbudza we mnie żadnych romantycznych uczuć. Jestem mu po prostu wdzięczna za to, że mi pomaga.

Paul wstał i podszedł do niej. Położył dłoń na jej ramieniu.



- Becky, przez ostatni rok bardzo się pani zmieniła. Nigdy nie oczekiwałem, że nauczy się pani tak rozumieć innych ludzi i wykształci w sobie intuicyjną zdolność wyczuwania ich potrzeb. Być może nie jest tu bez znaczenia fakt, że usamodzielniała się pani. Ale chciałbym, żeby pojednała się pani z rodzicami.

Zdziwiło ją, że zainteresował się jej osobistym życiem. Spojrzała nań szeroko otwartymi oczami.

- Byłem niedawno u pani w domu - ciągnął. - Rodzice pytali o panią. Boleśnie odczuwają pani nieobecność. Ale są tak samo dumni, jak pani. Nie poproszą, żeby pani wróciła, choćby mieli przez to cierpieć do końca życia. Czy nie może się pani przemóc i zrobić ten pierwszy krok?

Serce biło jej jak szalone, gdy odparła ochryłym głosem:

- Mają przecież Alice! Jest dziewczyną, jaką zawsze chcieli mieć. Jest damą z towarzystwa, którą ja nigdy nie chciałam zostać.

- Ale to pani jest ich córką. Nikt nie może im pani zastąpić. Proszę, niech pani nie płacze! - zawołał, widząc, że jej oczy napęcznieją się łzami. - Dlaczego po prostu pani nie wróci? To przecież żadne życie: być ciągle samą w obcym domu.

Przecież nie była sama. Poza tym wiedziała, że ciąży na niej odpowiedzialność za bezpieczeństwo Augusty Shelburne. To przez nią przecież starsza pani została uwikłana w tę sytuację. Nie mogła jej tak zostawić.

- Może później - odparła, walcząc ze łzami. - Może później wrócę do rodziców.

Paul nie wracał już do drażliwego tematu, ale do końca tego popołudnia czuła na sobie jego uważne, badawcze spojrzenie.

Próbowała nie myśleć o tym, że może wreszcie zaczął patrzeć na nią innymi oczami. Już tyle razy łudziła się daremnie, że w końcu dostrzegł w niej kobietę. Nie potrafiła odróżnić swych życzeń od rzeczywistości.

W następnych dniach kampania wyborcza osiągnęła swe apogeum. Steve wystąpił w telewizji i - zgodnie z przepowiednią Paula - wyglądał z ręką na temblaku niezwykle dramatycznie. Napad na swą osobę potraktował jako dowód na to, że zarząd miasta jest skorumpowany i zaapelował do wyborców, by pomogli mu zlikwidować bagno przekupstwa i gwałtu.

We wszystkich dzielnicach odbywały się imprezy przedwyborcze. Nawet w Małym Chicago, gdzie ludzi mało obchodziła polityka, wszyscy z uwagą śledzili rozwój wydarzeń.

W ten sobotni dzień Becky jakimś szóstym zmysłem czuła, że coś niezwykłego dzieje się w Małym Chicago; narasta w tej dzielnicy dziwne napięcie.

- Co się dzisiaj dzieje? - próbowała wyciągnąć coś od Robina, który jak zwykle czekał na nią przed domem. - Może... może źle się wyrażę, ale tak czuję, jakby coś niedobrego miało się tutaj wydarzyć.

Robin nie był dziś rozmowny.

- Im mniej pani wie, tym lepiej, Becky. Dziś wieczorem niech się pani trzyma z daleka od Małego Chicago.

Zacisnął usta, dając jej do zrozumienia, że nic więcej nie powie. Ale Becky była nieustępliwa

- Ależ Robin, powiedz, o co chodzi! Czy zanosi się na jakąś uliczną bijatykę? Czy to jakieś, jak wy to nazywacie, porachunki między bandami?

Paul opowiadał jej o "porachunkach" między wrogimi sobie gangami młodzieżowymi. Po takich "sprzeczkach" zawsze było w przychodni dużo roboty: przywożono do nich młodych chłopców z paskudnymi ranami.

Becky naciskała:

- Jeżeli tak, to przecież można tego uniknąć. Jesteś dla chłopców autorytetem. Jeżeli tylko zechcesz, możesz nie dopuścić do żadnych rozrób.

Ale on nie był skłonny dyskutować o tym. Milczał, jakby zupełnie nie docierało do niego to, co mówiła. Dopiero przy drzwiach otworzył usta.

- Niech pani zrobi tak, jak powiem. Proszę zostać dziś w domu, Becky. Mam swoje źródła informacji i jeśli radzę pani, żeby się nie pokazywać dziś w Małym Chicago, to wiem co mówię. To nie żarty, proszę mi wierzyć.

Choć czuła, że mówi szczerze i choć widziała powagę malującą się na jego twarzy, była pewna, że wieczorem znów pojawi się na Folger Street.

Obiecała Paulowi, że pomoże mu w przychodni. W sobotni wieczór przychodziło zawsze najwięcej chorych. W innych dzielnicach o tej porze chodziło się na tańce lub siedziało przed telewizorem. Tutaj przeciwnie, dopiero po kolacji pacjenci gromadzili się dumnie w poczekalni przychodni i siedzieli tam tak długo, dopóki doktor Coleman ich nie przyjął.

Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego akurat o tej porze wszyscy szturmowali drzwi gabinetu. Paul jej to wyjaśnił:

- Zwlekają z wizytą u lekarza aż do soboty, a potem nagle okazuje się, że do poniedziałku już nie wytrzymają. Nie mogą wprost znieść myśli o niedzieli. To najgorszy dzień dla ludzi, którzy czują się samotnie. A jak pani

wie, zmartwienia mogą być przyczyną prawdziwej choroby. Ci, którzy przychodzą do mnie, choć przez chwilę mają kogoś, kto się o nich troszczy.

Przed południem doktor powiedział:

- Muszę powiedzieć pani Thompson, że próba gruźlicza u jej najstarszego syna wypadła niestety pozytywnie. Trzeba wysłać dzieciaka do sanatorium. Pan Boland musi mieć zmieniony opatrunek. Sądzę, że oparzeliny dadzą się wyleczyć bez blizn. Troje pacjentów nie przyszło w tym tygodniu na zastrzyk, więc pojawią się pewnie dziś wieczorem. A potem muszę zrobić staremu Joe analizę krwi. Podejrzewam anemię.

Becky znów zadziwiła doskonałą pamięć Paula. Wystarczyło mu tylko, że usłyszał nazwisko i natychmiast mógł recytować całą historię choroby. Pacjenci nie byli odtąd anonimowymi przypadkami. Byli ludźmi, którzy posiadali przeszłość i określoną osobowość. Uprzedził ją również, że zostanie, być może, wezwany do porodu.

- Jeśli tam pojedę, na pewno zabawię dłużej. Czy może pani dziś wieczorem...

- Oczywiście.

- Naprawdę nie ma pani nic lepszego do roboty w sobotni wieczór?

A gdy odparła, że nie planowała na dziś niczego specjalnego, stwierdził:

- Becky, jest pani prawdziwym skarbem. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mógł wynagrodzić ten cały wysiłek, jaki wkłada pani w pracę tutaj.

## ROZDZIAŁ VIII

Becky przyzwyczała się jadać kolację wraz z Forresterami. A dokładnie, od dnia, kiedy do ich domu wprowadziła się pani Shelburne.

Tego wieczoru Becky uznała za stosowne ostrzec swą gospodynię, by zatrzymała dzieci w domu.

- Sama nie bardzo wiem, co się dziś dzieje - przyznała. - To prawda, że Billy i Carol trzymają się zwykle z dala od Małego Chicago. Ale jeśli będzie miała miejsce jakaś większa burda, a tego jestem prawie pewna, sąsiednie ulice też nie będą bezpieczne.

Carol ze świeżo umyтыми włosami zakręconymi na wałki głośno wyraziła swój protest:

- Ależ mam, chciałam dziś iść na dyskotekę. Boże, przecież nie jestem dzieckiem. Potrafię na siebie uważać.

- W następną sobotę też jest dyskoteka - spokojnie odparła matka. - Skoro panna Hazlett uważa, że na ulicach jest dziś niezbyt bezpiecznie, to zostaniesz w domu.

Becky zwróciła się do chłopca:

- Billy, bądź dziś bardziej ostrożny niż zwykle. Pod żadnym warunkiem nie wychodź z domu. Nie spuszczaaj oka z pani Shelburne.

- Zrobi się - zapewnił z powagą. - Pani Shelburne i ja oglądamy dziś wieczorem telewizję.

- A co będzie z panią? - wypytywała z troską pani Forrester. - Czy nie byłoby lepiej, gdyby pani także została dziś w domu?

- Muszę iść do pracy - odparła Becky. - Nie mam wyjścia. Doktor mnie potrzebuje.

Po kolacji wzięła prysznic i ubrała się w świeży fartuch. Ponieważ Robin nie podejrzewał nawet, że Becky zamierza wrócić do Małego Chicago, nie czekał na nią. Wzięła wobec tego taksówkę.

W Małym Chicago panował nienaturalny spokój. Wszędzie panowała dziwna, martwa cisza.

Już choćby to świadczyło o tym, że coś się święci. W sobotnie wieczory, zwłaszcza gdy pogoda była tak piękna jak teraz, na ulicach widziało się zawsze mnóstwo ludzi. Mężczyźni odwiedzali swoje ulubione knajpki. Chłopcy i dziewczęta spacerowali parami, trzymając się za ręce albo przytulając czule do siebie. Gromady dzieci, których rodzice najczęściej nie

bardzo interesowali się tym, jak spędzają czas ich pociechy, bawiły się hałaśliwie wśród zaparkowanych samochodów.

W oknach, którym się przyglądała, Becky nie zauważyła choćby jednej twarzy. W większości domów pozamykano okiennice lub zaciągnięto na okna zasłony. Becky doznała wrażenia, jakby- znalazła się w wymarłym mieście. Kiedy dotarła wreszcie do przychodni i weszła do poczekalni, na widok siedzących tam kilku pacjentów poczuła ulgę i radość. Ale nawet oni nie zachowywali się normalnie. Żaden z nich nie spojrział nawet w jej stronę ani nawet nie podniósł głowy, gdy weszła. Siedzieli nieruchomo, sprawiając wrażenie martwych kukieł.

W gabinecie Paul badał małego chłopca ze złamaną nogą.

- Mówiłem, że ma pani przyjść za dwa tygodnie -przypomniał z powagą w głosie matce dziecka. - A minął już prawie miesiąc. Kiedy powiedziałem pani, że chłopiec nie zostanie kaleką, byłem przekonany, że oboje pomożecie mi w leczeniu. Kobieta zaczęła się bronić.

- Mój mąż jest bezrobotny, nie może znaleźć pracy. Nie zapłaciliśmy nawet ostatniego rachunku.

- Czy kiedykolwiek pytałem panią o pieniądze? - spytał Paul. - Czy jestem mechanikiem samochodowym i jeśli ktoś nie zapłaci rachunku, odmawiam wykonania roboty? Jestem lekarzem i ostatnią rzeczą, o którą się martwię, są pieniądze. A skoro powiedziałem, że chłopiec ma przyjść za dwa tygodnie, powinna go tu pani koniecznie przyprowadzić w tym terminie. Nie ma żadnego usprawiedliwienia.

Bardzo się zdenerwował i jeszcze długo po wyjściu kobiety z dzieckiem nie mógł się uspokoić. Becky chciała mu wspomnieć o dziwnej atmosferze w Małym Chicagu i ostrzeżeniu Robina, uznała jednak, że nie pora teraz na dzielenie się niejasnymi przeczuciami.

Zjawilo się znacznie więcej pacjentów, niż oczekiwali oboje. Była prawie dziewiąta, gdy ostatni chory opuścił przychodnię. Paul miał jeszcze przed sobą Lilka wizyt domowych.

Zawahała się, gdy zapytał:

- Odwieźć panią do domu czy też czeka na panią jej wiemy stróż?

Nie miała szczególnej ochoty na to, by wracać samotnie ciemnymi ulicami, ale nie chciała też, by marnował dla niej czas, którego jak zawsze miał zbyt mało. Wolala raz jeszcze wziąć taksówkę, choć przy jej skromnych dochodach był to spory wydatek.

Taksówka nie przyjechała od razu. Doktor pozostał jeszcze chwilę w gabinecie, chcąc dodzwonić się do kliniki w sprawie wyników jakichś badań, a Becky wyszła z budynku i czekała na samochód.

Nagle jakaś czarna limuzyna z szaleńczą szybkością wjechała w Folger Street. W środku siedziało trzech mężczyzn. Nie dostrzegła ich twarzy, gdyż samochód zbyt prędko przemknął obok niej.

W napięciu przyglądała się temu, co nastąpiło potem.

Z piskiem opon limuzyna zatrzymała się o kilka budynków dalej. Stała przed domem, w którym mieszkała Augusta Shelburne, zanim przeprowadziła się do Forresterów. Mężczyźni wyskoczyli z samochodu i popędzili po schodach na górę. W chwilę potem ulica niespodziewanie ożyła.

Z piwnicy domu wyłoniła się grupa wyrostków. Inna grupa wyszła z kryjówek mieszczącej się pod schodami przeciwpożarowymi. Obie grupy spotkały się u stóp schodów, na których zatrzymali się mężczyźni; trzy ciemne postacie zamarły w bezruchu.

Becky ze swego punktu obserwacyjnego dostrzegła błysk stali. Chłopcy byli uzbrojeni w noże. Poruszając się sprężyście jak koty, otoczyli podstawę schodów, groźnie wznosząc trzymaną w dłoniach broń. Niektórzy mieli też przy sobie butelki, kije baseballowe lub pałki.

Najpierw słychać było tylko przytłumiony szmer. Potem zabrzmiały pojedyncze krzyki, aż w końcu ulica wypełniła się wrzaskiem wielu głosów. Powoli chłopcy zacieśniali krąg wokół schodów. Nie wiadomo kiedy, wokół pojawiło się nagle mnóstwo ludzi. Kto żyw, wybiegał z domu; słychać\* było odgłosy licznych kroków i nawoływania.

Becky zauważyła, że z sąsiedniego domu wypadł Robin Hood. Za nim wybiegła matka. Zatrzymała się na schodach, załamując ręce. Drzwi do przychodni otwały się na oścież i ukazał się w nich Paul. W ręku trzymał swą czarną lekarską torbę, a jego rozpięty zwykle płaszcz falował na wietrze. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację i już chciał wybiec na ulicę, ale Becky chwyciła go za rękę i zatrzymała.

- Proszę, niech pan tu zostanie - powiedziała. Chłopcy zatrzymali się teraz na schodach, o krok przed czarno odzianymi mężczyznami. Nagły strzał zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

W sekundę później dwaj mężczyźni zniknęli. Ku trzeciemu wysunęły się dziesiątki rąk, wciągając go w tłum.

Teraz rozpętało się istne piekło. Wrzask tłumu zmieszał się z przeraźliwymi jękami bitych mężczyzn.

- Zabiją go! - krzyknął Paul i popędził schodami w dół. Biegając za nim, Becky pośliznęła się i omal nie upadła.

W kilka minut później z za rogu wypadł wóz policyjny na sygnale. Kierowca przyhamował i auto powoli zaczęło przebijać się przez dum, który wypełniał jezdnię.

Młodociany gang wcale się nie przejął przybyciem policji. Becky podążała za Paulem, który torował sobie drogę poprzez ciżbę. Słyszała wokół siebie młode, zachrypnięte głosy i próbowała coś wyłowić ze strzępów rozmów.

- Myślą sobie, że mogą tu udawać cwaniaków, co?

- Taka miła starsza pani. Mieszkała tu, odkąd pamiętam i nigdy nikomu nie zrobiła nic złego...

- Zbiry Hardcastle'a chyba się tu więcej nie pojawią. To będzie dla nich nauczka.»

"A więc o to chodzi" - przemknęło jej przez głowę, gdy przepychała się krok w krok za Paulem.

Więc, jak się okazało, nie były to czcze pogroźki. Nie wiedząc o tym, że pani Shelburne zmieniła adres, Hardcasde przysłał prywatnych zbirów, by raz na zawsze zamknąć usta głównemu świadkowi.

Najprawdopodobniej Robin otrzymał w porę informację i zorganizował w Małym Chicago odpowiednią akcję. Znał dobrze gnuśność tutejszej policji, bo sam wiele jej zawdzięczał, posłużył się więc własnymi metodami, by ochronić starszą panią.

Z radiowozu wysiadło dwóch policjantów. Z trudem przepychali się przez dum. Chłopcy cofnęli się i rozpiezchli na wszystkie strony. Jeden z odzianych na czarno mężczyzn pojawił się w polu widzenia Becky. Obiema rękami trzymał się za krwawiącą głowę. Drugi wstał właśnie z ziemi przy pomocy policjanta. Trzeci uciekł na schody. Trzymając w ręku pistolet, z kamienną twarzą obserwował, jak jego kompanów wsadzają do radiowozu. Policjanci założyli obu gangsterom kajdanki, po czym wrócili na schody. Mężczyzna z rewolwerem w ręku wydał ostrzegawczy okrzyk.

Wystrzelił, ale kula nie dosięgła żadnego z policjantów. Becky usłyszała strzał i prawie jednocześnie poczuła ostry, palący ból w ramieniu. Potem pociemniało jej w oczach.

\*\*\*

Gdy się ocknęła, stwierdziła, że leży na łóżku w przychodni Paula. Poczowała dotkliwy ból, a potem dostrzegła pocisk w dłoni Paula. Zaczął bandażować jej ramię.

Później, gdy już trochę przyszała do siebie, zapytał:

- Wie pani, co się tam w ogóle stało? Skinęła głową.

- Być może bandyci Hardcasde'a będą nadal starali się zlikwidować panią Shelburne i mnie - zakończyła.

- Idziemy. Zabieram panią stąd natychmiast. Te dranie siedzą teraz w areszcie, ale nie zaznam spokoju, dopóki nie opuści pani Małego Chicago.

Pomógł jej się podnieść i objął ją mocno ramieniem, gdy wyszli z budynku w ciemną noc. Poczowała brak sił i oparła się na nim mocniej. Wsiedli do samochodu.

- Dokąd, Becky? - zapytał cicho. Zawahała się, a potem odparła:

- Do domu.

Zrozumiał od razu, co ma na myśli. Minęli kilka przecznic, a potem skręcili w kierunku Willi Hazlettów. Dla niego było czymś oczywistym, że w takiej chwili Becky chce mieć przy sobie rodziców.

Siedziała obok niego milcząc i próbowała dociec, dlaczego tak bardzo zapragnęła naraz wrócić do domu. Może odezwał się stary odruch, pod wpływem którego jako dziecko ze wszystkimi zmartwieniami biegła do mamy lub taty. Może w momencie, kiedy trafiona pociskiem poczuła przejmujący ból, uświadomiła sobie, jak kruche i przelotne jest ludzkie życie.

W każdym razie zrozumiała, że nigdy nie uda się jej zerwać całkowicie więzi łączącej ją z rodzinnym domem. Nagle zatęskniła za rodzicami tak mocno, jak nigdy dotąd.

Samochód zatrzymał się przed jasno oświetlonym domem Hazlettów. Nim Paul zdążył nacisnąć dzwonek, drzwi się otworzyły.

Gdy Marta Hazlett zobaczyła córkę, łzy w jednej chwili napłynęły jej do oczu.

- Rebeko! - zawołała. - Dowiedzieliśmy się o wszystkim z radia. Ach, cośmy przeżyli! Byliśmy nieprzytomni z rozpaczy. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie cię szukać. Ojciec zadzwonił do szpitala, ale mu powiedzieli, że nikogo o takim nazwisku nie przyjęto. Moje kochanie, gdybyś wiedziała, cośmy przeżyli...

Becky weszła do holu, podeszła do matki i spojrzawszy na nią z bliska, zobaczyła, że przeżycia minionych paru godzin wyryły się z całą wyrazistością na jej twarzy.

Z salonu wyszedł Lawrence Hazlett Ramiona opadały mu bezradnie. Serce ścisnęło się jej z żalu. Paul uspokoił rodziców.



- Córka państwa ma się już dobrze. Ale powinna natychmiast położyć się do łóżka. Rana zagoi się szybko. Kilka dni wypoczynku i zapomni o wszystkim.

W tym momencie na schodach rozległy się kroki. Wszyscy odwrócili głowy. Do holu wkroczyła Alice. Zatrzymała się i wymuszony uśmiech zakwitł na jej twarzy.

- Oto i nasza bohaterka! - wykrzyknęła z wyraźnym szyderstwem. - Córa marnotrawna! Moje uznanie, Becky! A więc znowu ci się udało; stałaś się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Ale tym razem wiele ryzykowałeś!

Becky patrzyła w milczeniu na kuzynkę. "Chyba rzeczywiście musi ją to strasznie boleć, gdy otoczenie zaczyna się interesować kimś innym" - pomyślała. Ale ponieważ przejrzała ją na wylot, nic nie mogło już jej zranić.

Paul popatrzył ze zdziwieniem na Alice. Trudno jednak było odgadnąć, co myśli, bo z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Gdy dziewczyna poczuła na sobie jego wzrok, natychmiast przybrała kokieteryjną pozę.

- Miło mi znów pana widzieć, Paul! Strasznie mnie pan ostatnio zaniedbał, właściwie powinnam się na pana pogniewać. - Zrobiła słodko nadaśaną minę. - Ale tym razem jeszcze panu wybaczę. A nawet własnoręcznie zaparzę panu filiżankę kawy, a to robię nie dla każdego, może mi pan wierzyć.

- Przykro mi - Paul cofnął się ku drzwiom - ale muszę natychmiast wracać. Mam bardzo dużo pracy.

Przypomniał jeszcze z naciskiem Marcie, że Becky przez kilka następnych dni powinna mieć idealny spokój. Obiecał przyjść następnego dnia i zmienić opatrunek. Nie spojrzawszy na Alice, opuścił dom.

\*\*\*

Becky stwierdziła, że to coś wspaniałego być rozpieszczaną i obsługiwaną przez wszystkich dookoła. Kiedyś nadmierna troska rodziców wprowadziła ją w irytację, teraz jednak zdała sobie sprawę, że wynika ona po prostu z uczuć, jakie żywili dla niej.

Paul zalecił całkowity spokój, ale już po dwóch dniach Marta Hazlett uświadomiła sobie, że walka o spokój i ciszę w tym domu jest walką beznadziejną.

Telefon dzwonił bez przerwy. Dzwonili nie tylko przyjaciele i znajomi, ale także pacjenci, personel szpitalny oraz inni, zupełnie nie znani jej ludzie.

Cały dom tonął w kwiatkach. Wiele osób pisało do Becky; współczuli jej z powodu wypadku i życzyli szybkiego powrotu do zdrowia.

Przysłano też ogromny bukiet kwiatów z liścikiem w środku. Na kartce wypisanych było dwanaście nazwisk. To chłopcy, którzy zgromadzili się owej nocy przed domem Augusty Shelburne i dali nauczkę bandytom, złożyli się na kwiaty dla niej.

Od Robina dostała kilkanaście wspaniałych czerwonych róż. Nawet Forresterowie przysłali jej bukiet. Becky wiedziała, że zawsze będą należeć do grona jej najlepszych przyjaciół.

Steve przysłał jej kwiaty i dołączył do nich list. Był pierwszym gościem, któremu pozwolono ją odwiedzić. Przyszedł w poniedziałek, na dzień przed wyborami, miał więc bardzo mało czasu. Wpadł na chwilę, wyraził swoje współczucie i pognał znowu do swoich zajęć.

Zaraz po nim przysłała Augusta Shelburne. Mimo iż zostawiła Puszka w domu i wybrała na tę okazję nieco mniej szokujący strój niż ten, który nosiła zazwyczaj, Becky przeżyła kilka chwil niepewności, nie wiedząc, jak matka przywita dziwną starą pannę.

Obawiała się jednak niepotrzebnie. Obie kobiety natychmiast odkryły w sobie bratnie dusze.

Opowieści pani Shelburne o jej nobliwej przeszłości matka uznała za fascynujące. Obie z radością plotkowały o czasach, które dawno przykrył kurz historii. Z autentycznym zapałem dzieliły się ze sobą informacjami dotyczącymi ich genealogii. Ku ogromnemu zdziwieniu wszystkich odnalazły nawet dalekich wspólnych przodków.

- To prawdziwa dama - przyznała Marta Hazlett po wyjściu pani Shelburne.  
 - Wprawdzie jest... nieco oryginalna, ale pochodzi ze szlacheckiej rodziny. Powiedziała, że teraz zamieszka na stałe u państwa Forresterów. Z tego co mówiła, wynika, że to nadzwyczaj sympatyczna rodzina. Może, Rebeko, zaprosisz ich kiedyś do nas na obiad? Chętnie poznam ludzi, którzy byli ci tak życzliwi.

Następny gość nie wzbudził entuzjazmu pani Hazlett. Gdy czerwony sportowy samochód Robin Ho-oda zahamował z piskiem opon przed domem, wyrzała przez okno i skrzywiła się.

- Musimy przyjąć go należycie - powiedziała tonem, z którego można się było domyślić, jak ciężkim przeżyciem jest dla niej ta wizyta. - Naprawdę, Rebeko, to najdziwniejsze osoby, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

Robin odświeżył na tę okazję całą swoją wiedzę o dobrych manierach. Dobierał starannie słowa, a typowa dla niego buta ustąpiła miejsca

uprzejmemu, grzecznemu zachowaniu. Dopiero gdy zaczął mówić o pamiętnej burdzie, znowu dała o sobie znać jego nadmierna pewność siebie.

- My, ludzie z Małego Chicago, mamy swoiste poczucie honoru - opowiadał. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Gdy tylko dostałem cynk, co zamierza Hardcastle, postanowiłem dać mu po nosie. Teraz już nie będzie się tak spieszył z wysyłaniem do nas płatnych morderców. - Wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Gliny mnie przymknęły, to prawda. Pod zarzutem zakłócenia spokoju. Ale wypuścili mnie, gdy zapłaciłem jakąś śmieszoną kaucję. To samo było z kilkoma starszymi chłopakami, którzy dali się złapać. Dla mnie to drobiazg.

Pani Hazlett zwróciła się nieco nerwowo do córki:

- Becky, zadzwoń proszę po herbatę. Już czwarta i pora, żebyś coś zjadła.

Robin nie zrozumiał aluzji i siedział spokojnie dalej. Ponieważ lubił dużo mówić, zaczął rozwodzić się szeroko na temat wydarzeń sobotniej nocy.

Becky sama poszła po herbatę. Po powrocie z kuchni stwierdziła, że atmosfera uległa zasadniczej zmianie. Matka siedziała sztywno na krześle, a Robin złożywszy ręce na kolanach, wpatrywał się uparcie w podłogę.

- Sądziłem, że powinienem to pani powiedzieć - wymruczał.

Becky oznajmiła, że herbata zaraz będzie gotowa, ale Robin udał, że tego nie słyszał i spoglądał to na panią Hazlett, to na Becky.

- Niech pani uważa na siebie - powiedział wreszcie do Becky. - Zobaczymy się później. - Po czym bez słowa opuścił pokój.

Becky spojrzała pytająco na matkę.

- Co to właściwie ma znaczyć? - zapytała.

Ze zdumieniem zauważyła łzy w oczach matki. Pani Hazlett odezwała się zduszonym głosem:

- Ach, Rebeko, dlaczego nam nie powiedziałaś? Jak niesprawiedliwie cię potraktowaliśmy! Gdyby nie przyszedł ten pan, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli. Myślę, że to był jedyny powód, dla którego się tu zjawił. To on był wtedy z Alice! I to właśnie mi powiedział. Kochanie, dlaczego nic nam nie wyjaśniłaś? Kłótnia, twoje odejście z domu, pomyśl, tego wszystkiego można było uniknąć! Gdybyś tylko zamiast milczeć... - Głos pani Hazlett nabrał naraz ostrości. - A właściwie wcale mnie to nie dziwi. Już dawno odkryłam, że Alice jest małą obłudnicą. Nie można mieszkać z człowiekiem przez dłuższy czas pod jednym dachem i nie poznać jego prawdziwej natury. Natychmiast odeślę ją do domu. Niech moja siostra sama martwi się o swoją córkę...

- Mamo, z Alice jest tak...

Becky chciała wyjaśnić, dlaczego kuzynka zachowuje się tak egoistycznie, ale matka wpadła jej w słowo.

- Mogłabym jej wszystko wybaczyć, gdyby nie fakt, że wzięłaś na siebie winę za to, co się stało. Bezzwłocznie poinformuję ją, że musi wyprowadzić się z naszego domu.

W godzinę później Alice rzeczywiście opuściła dom Hazlettów. Becky słyszała, jak podjechała taksówka, po chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi, a potem samochód odjechał.

Było jej naprawdę przykro, że Alice rozstała się z nimi w ten sposób. Zastanawiała się też, jak przyjmie to Paul.

\*\*\*

Następny dzień był obfity w wydarzenia. Odbyły się wybory burmistrza. Wieczorem emocje opadły.

Thomas Hardcasde musiał z kwaśną miną przyznać w swym wystąpieniu telewizyjnym, że przegrał wybory. Nowym burmistrzem został Steve Pryor.

Steve wygłosił krótkie przemówienie i jeszcze raz obiecał, że zrobi co tylko będzie w jego mocy, by wszyscy mieszkańcy miasta mogli żyć bezpiecznie i dostatnio. Zamierzał dokonać wielu zmian, ale najważniejsze dotyczyło Małego Chicago. Becky wiedziała o tym doskonale. Gdy następnego dnia skręciła w Folger Street, wydało się jej, że wszystko dookoła wygląda teraz zupełnie inaczej, że panuje tu teraz atmosfera spokoju, jakiego dotąd w tej dzielnicy nigdy nie odczuwała.

"Prawdopodobnie wmawiam sobie to wszystko" -pomyślała, parkując przed przychodnią Paula. Ów spokój można było wytłumaczyć całkiem prozaicznie. Wczesny listopadowy ranek nie zachęcał ludzi do spacerów. Mniejsze dzieci były w szkole, a starsi chłopcy, odpowiednio ostrzeżeni przez policję, przestali się wałęsać po ulicach.

Zanim zdjęła płaszcz, rzuciła okiem na biurko. Sterta papierów oznaczała, że czeka ją dziś mnóstwo roboty.

W gruncie rzeczy była z tego zadowolona. Im więcej będzie miała pracy, tym łatwiej będzie jej zapomnieć o dręczących ją problemach.

Od pamiętnego sobotniego wieczoru przemyślała wiele spraw.

Matka namawiała ją:

- Mogłabyś wziąć sobie dłuższy urlop, co ty na to? Pojechalibyśmy do Francji albo zafundowalibyśmy sobie podróż statkiem na Karaiby. Twój ojciec potrzebuje wypoczynku, a i nam obu wyjazd też dobrze by zrobił.

Becky odmówiła grzecznie, ale stanowczo. Jej miejsce było tutaj. Nie tylko miłość do Paula łączyła ją teraz z Małym Chicago.

Przez ostatnie tygodnie bardzo się zmieniła. Nie była już głupią gąską, żyjącą w cieniu mężczyzny, którego kochała. Stała się dojrzałą kobietą, która już wiedziała, jakie wartości są w życiu najważniejsze.

Wiedziała, że niezależnie od uczuć, jakie żywiła dla Paula, jeśli nawet nigdy nie stanie się dla niego czymś więcej niż tylko niezastąpioną pomocnicą w codziennej pracy, będzie zawsze służyć swoją wiedzą i umiejętnościami ludziom, którzy jej potrzebują, i że będzie starała się to czynić najlepiej jak potrafi.

Zagłębiając się w rozmyślaniach nie dosłyszała, że ktoś otwiera drzwi do poczekalni. Drgnęła gwałtownie, ujrawszy nagle przed sobą Steve'a.

Wyglądał na zmęczonego. Na czole i policzkach dostrzegła głębokie bruzdy. "Być może to była cena, jaką mu przyszło zapłacić za zwycięstwo" - pomyślała Becky. Ale w jego oczach błyszczał ognik triumfu.

Podeszła do niego i wyciągnęła doń rękę.

- Cieszę się, Steve - uśmiechnęła się. - Będiesz pierwszorzędnym burmistrzem. Należałoby właściwie złożyć gratulacje całemu miastu. Możemy uważać się za szczęściarzy.

- Dziękuję, Becky - nie wypuścił jej dłoni. - Bardzo mi pomogłaś. Tyle wam wszystkim zawdzięczam. Bez waszej pomocy nigdy by mi się to nie udało. Ale ty jesteś dla mnie najważniejsza. - Jego głos zabrzmiał teraz miękko. - Zawsze będziesz dla mnie najważniejsza. Wiesz, co czuję do ciebie. Uświadomiłem sobie pewnego dnia, jak bardzo mnie fascynujesz. A odkąd poznałem cię bliżej, wiem, że jesteś kobietą, którą chciałbym poślubić.

Patrzyła na niego spokojnie. Oczekiwała takiej formy oświadczenia. Jak on to powiedział?: "Jesteś kobietą, którą chciałbym poślubić..."

Miała stać przy jego boku w świetle reflektorów, pomagać mu, być jego dumą. Zadała sobie pytanie: Czy chciałby się z nią ożenić, gdyby była prostą dziewczyną, bez wpływowej rodziny, bez starannego wychowania i towarzyskiego obycia? Czy gdyby była kelnerką, robotnicą, kimś, kto nie urodził się w najlepszej dzielnicy miasta, czy wówczas także byłaby dla niego kimś najważniejszym? Czy jej atrakcyjność polegała dla niego głównie na tym, że nadawała się znakomicie na żonę burmistrza?

Steve nigdy by się w niej nie zakochał, gdyby należała do innej warstwy społecznej. Tego była pewna. Jego uczucia były sterowane przez ambicję, która decydowała o wszystkim w jego życiu.

Tym razem nie dała się skusić jego oświadczeniom. Zdążyła poznać już głębiej samą siebie i uznała, że łatwiej zniesie samotność niż małżeństwo bez miłości.

- Przykro mi, Steve - w jej głosie zabrzmiał szczerzy żal. - Jesteś jednym z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Ale szacunek i uznanie to nie wszystko. Ponieważ cię nie kocham, małżeństwo z tobą byłoby ogromnym błędem.

Na jego twarzy odmalowało się zmieszanie. Wypuścił jej dłoń ze swej dłoni.

- Aleja myślałem...

- Wiem. Zbyt długo milczałam. To nie była fair z mojej strony. Naprawdę tego żałuję. Nie powinnam była utrzymywać cię w przekonaniu, iż coś do ciebie czuję, gdy w głębi duszy wiedziałam, że nigdy nie będziemy razem.

Poruszyło ją jego przygnębienie.

- Steve! - zawołała ciepło. - Znajdziesz przecież inną kobietę, która będzie cię ubóstwiać i kochać.

Becky była pewna, że owa kobieta nie da na siebie długo czekać. Burmistrz-kawaler na pewno podbije serca wielu pięknych, młodych dam.

- Czy to twoje ostatnie słowo? - spytał ze smutkiem. Odpowiedziała cicho:

- Jeszcze nigdy niczego nie byłam tak pewna, Steve. Gdy wyszedł, z powrotem siadła za biurkiem. Nie żałowała swej decyzji. Jeżeli czegokolwiek żałowała, to tylko tego, że zraniła człowieka, który na to nie zasłużył.

Po jakimś czasie drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem usłyszała kroki. Wiedziała, że to Paul.

\*\*\*

Jak zwykle pospiesznie wkroczył do gabinetu, ściągnął niedbale płaszcz i rzucił torbę na krzesło.

- A co pani tu robi? - Stał jak wryty na jej widok. - Kto pozwolił pani przyjść do pracy? Nie przypominam sobie, żebym powiedział, że jest już pani zdrowa.

- Czuję się naprawdę świetnie. I wolę pracować niż beczynnym siedzieć w domu. Jeszcze kilka dni lenistwa i musiałby pan wysłać mnie do psychiatry.

- Ale tylko kilka godzin - poddał się. - Punkt dwunasta wysyłam panią do domu. - Stanai naprzeciw niej.

- Czego tu szukał Steve? Czy umówiła się z nim pani tutaj?

- Nie wiedziałam, że przyjdzie. Prawdopodobnie miał jakąś sprawę do pana.

Pod jego badawczym spojrzeniem poczuła się trochę niepewnie. Odwróciła głowę. Paul odezwał się znowu:

- Zachowywał się dość" dziwnie. Wsiadał właśnie do samochodu, gdy nadszedłem. Wołałem za nim, ale nie usłyszał i odjechał. Czy zaszło coś między wami?

Jak na Paula było to dość niezwykle pytanie. Ileż to razy dał jej odczuć, że jej osobiste życie w ogóle go nie interesuje. Teraz jednak było inaczej. Patrzył na nią uważnie, ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

W końcu odparła cicho:

- Wolałabym o tym nie mówić. To tylko jeszcze jeden głupi błąd w moim życiu.

- Potrafię to sobie wyobrazić. Odrzuciła go pani, prawda? Nie jestem przecież ślepy. Nie uszło mojej uwadze to, co działo się między wami. Poświęciła mu pani mnóstwo czasu, gdy leżał pobity w szpitalu. Steve bez przerwy przychodził do przychodni, choć przedtem pokazywał się tu bardzo rzadko. Nie przesiadywał tu przecież z mojego powodu. - Podeszedł bliżej i uniósł jej podbródek, tak że musiała spojrzeć mu prosto w oczy. Czy oświadczył się pani?

- Tak i dałam mu kosza.

- Dlaczego?

- Ponieważ kocham innego.

Spojrzał jej głęboko w oczy, a to, co w nich zobaczył, równało się spełnieniu jego wszystkich marzeń.

- Becky! - objął ją. - Wiedziałem, że ani Steve, ani Robin nigdy nie znaleźliby miejsca w twoim sercu. Już od dawna podejrzewałem, co do mnie czujesz. Ale broniłem się przed tym, przynajmniej początkowo. Nie chciałem kobiety, jaką byłaś, gdy zaczęłaś u mnie pracować. W moim życiu nie ma miejsca na rozpie

szczone dziewczyny. Ależ byłem egoistą! Wykorzystałem twoje uczucia, ponieważ potrzebowałem kogoś do pomocy. Uważałem swą pracę za tak ważną, że wszystko podporządkowałem dewizie "cel uświęca środki". - Przytulił ją do siebie i pogłaskał delikatnie po włosach. - Ale nagle, kilka tygodni temu, zmieniłaś się. Dla mnie również oznaczało to zmianę. Zakosztowałem tej samej goryczy, sądząc, że stracę cię, bo wybierzesz Steve'a.

- Och, Paul...

Pochylił głowę i pocałował ją. Najpierw łagodnie i delikatnie, potem z takim żarem i namiętnością, że poczuła się nagle zupełnie bezwolna i bezbronna.

- Walczyłem ze sobą, kochanie. Mówiłem sobie, że nigdy nie ożenię się z kobietą należącą do wyższej sfery, gdyż nie mógłbym jej nic ofiarować. Po raz pierwszy, odkąd jestem lekarzem, zrozumiałem tych kolegów, którzy porzucali praktykę, bo dochody, jakie przynosiła, były zbyt małe, by pozwoliły im utrzymać żony i dzieci. Ty przecież wiesz, jak wygląda moje życie. Jeśli decydujesz się dzielić je ze mną, to wiesz, co cię czeka. I to się nigdy nie zmieni, Becky. Nie jestem człowiekiem, któremu zależy na pieniądzach. Zawsze będzie to samo: darmowe wizyty i nie zapłacone rachunki. - Cofnął się o krok i przyjrzał się jej uważnie. - Dorosłaś, Becky. Jesteś teraz dojrzałą kobietą. Jeszcze nigdy nie byłaś tak piękna, jak dziś.

Wyszeptała:

- Paul, kochany mój, jedyne, co się naprawdę liczy, to nasza miłość.

Pocałował ją znowu, a gdy wypuścił ją z objęć, drżącymi dłońmi poprawiała przekrzywiony czepek.

Polem z poczekalni dobiegły ją znajome odgłosy i rozpoczął się zwykły dzień. Już chciała poprosić pierwszego pacjenta, ale w ostatniej chwili odwróciła się jeszcze. Dręczyło ją jedno pytanie:

- Dlaczego wybrałaś akurat Małe Chicago? Mogłaś przecież otworzyć przychodnię w jakiejś innej dzielnicy.

Uśmiechnął się.

- Bo Małe Chicago potrzebuje lekarza. Będąc stażystą, często przyjeżdżałem tu wzywany do wypadków i widziałem, że ludzie nie mają tu żadnego porządnego doktora. I że nikt się o nich właściwie nie troszczy. Potrzebują mnie. Myślę, że każdy człowiek tęskni w głębi duszy za tym, by być komuś potrzebnym. Rozumiesz mnie teraz, skarbie?

A więc to było takie proste! Tajemnica, spędzająca sen z oczu jej i jej koleżanek, dała się wyjaśnić w kilku słowach.

Paul nie był wcale romantycznym bohaterem, lecz zwykłym człowiekiem, który całkowicie poświęcił się swemu powołaniu; był prawdziwym lekarzem o wrażliwej duszy.

I Becky uświadomiła sobie, że bardziej kocha tego prawdziwego człowieka niż ową idealną postać, jaką sama stworzyła.

Promiennym wzrokiem odpowiedziała na jego uśmiech i poprosiła pierwszego pacjenta.